

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



MAREK NOWAKOWSKI

**PORTRET ARTYSTY Z CZASU
DOJRZAŁOŚCI**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

MONGOŁY

Kwaterowali u nas, a jeździli na Wolę. Wola płonęła, z naszego domu widać było łunę. Mówili w miasteczku, że tam na Woli gwałcą i rabują. Karolek Bilardzista, który nocą przeprowadził stamtąd swoją rodzinę, widział w gruzach martwą kobietę z odciętymi piersiami. To zrobili oni. My, paka Janka Piechura z Bud, patrzyliśmy na nich z ciekawością. Wszyscy w papachach wyglądali jak zrośnięci ze swoimi kudłatymi konikami. Wracali szosą od wiaduktu, skręcali w ulicę Piłsudskiego. Tak się kolebali na tych swoich konikach, karabiny przewieszane przez pierś, niektórzy mieli szable u pasa, te szable podzwaniały obijając się o ostrogi. Rozmawiali ze sobą gardłową, niezrozumiałą mową, twarze mieli śniade, oczy skośne, wąskie, a włosy czarne, sztywne jak końskie ogony. Mongoły. Tak na nich mówiono. Z Woli zawsze wracali obładowani różnym dobytkiem, ręce opięte aż do łokci zegarkami, palce pobłyskiwały od pierścionków i sygnetów. Widziałem też jednego, co budzik sobie powiesił na szyi. Zrabowany dobytek upychali przeważnie w czerwone poduszki, które opróżniali z pierza cięciami szabel i przytracali do siodeł. Zawsze jednak białe kłaczki pierza wiorowały koło nich i osiadały na papachach i końskich grzywach.

Wieczorem, napoiwszy konie i puściwszy je na ogrodzony plac przy piekarni pana Rappa, wybierali się na targ i tam zaczynał się handel. Wszystko można było od nich kupić za spirytus lub bimber. Przekupki z targu dobrze wychodziły na tym handlu. Należało tylko bardzo na nich uważać. Oni byli nieobliczalni. Te przekupki przeważnie handlowały z nimi pod opieką swoich chłopów. Niejeden z nich ścisnął pod pazuchą siekierę lub tasak. Z każdą samotną kobietą rozmaicie mogło się wydarzyć. Lucynę, tę ładną kelnerkę z „Wenecji” złapali wieczorem, jak wracała do domu. Trzech ich było i z każdym musiała po kolei. Dwóch wykręcało jej ręce, trzeci przyciskał usta dłonią, żeby nie wrzeszczała, i robił swoje. Mówili u nas w miasteczku, że i tak miała szczęście. Oni po wszystkim lubili przygwoździć do ziemi bagnetem i tak zostawić. Tam na Woli pełno takich przygwożdżonych kobiet. Starsi chłopcy co „kitę” odwalali z pociągów, wybierali się czasem na Wolę, myszkowali wśród ruin i opuszczonych mieszkań, i rozmaite rzeczy tam widzieli.

Taki Olek Kraczoż tylko spluwał na widok każdego Mongoła i zęgnął się zamaszyście.

Nie tylko młode kobiety były przy nich w niebezpieczeństwie. Starą Koczkową też dopadli. Babka to przecież, dwóch wnuków już miała, a oni do niej. Stara Koczkowa narobiła wielkiego wrzasku. Zdarzenie to miało miejsce blisko posterunku żandarmerii. Zapaliły się światła. Na ulicę wybiegli Niemcy. Jeden nawet strzelił. Wtedy oni uciekli.

A jak pohandlowali sobie na targu, odchodzili z flaszками i bańkami do parku, gdzie przed pałacym Koelichena rozpalali ognisko. Piekli mięso nadziane na długi drut i dwóch nieustannie obracało ten drut. Siedzieli kręgiem, kurzyli machorkę, pociągali spirytus z butelki, albo wprost z blaszanego kanistra, i śpiewali rzewnie tak zawodząco, inaczej niż wszystko, co słyszeliśmy dotąd. W tych swoich wielkich papachach, podwinawszy nogi pod siebie, kołysali się w takt melodii i śpiewali, czasem rytmicznie klaskali w dłonie. My, chłopcy z paki Janka Piechura z Bud podchodziliśmy do ogniska jak urzeczeni. Oni lubili dzieci. Zapraszali nas, gościnnie częstowali pieczoną pachnącą dymem baraniną i mówili pieśczośliwie – malczyk, kinder albo jeszcze tak jakoś. Tylko dziewczynki musiały uważać. Oni chyba nie różniali wieku. Zezowatą Jadżkę od Frączaków zwabili czekoladą i tak szczypać i głaskać

zaczęli, jeden już jej zadzierał sukienkę. Ledwo Frączak, który miał sodowiarnię i oni często pili u niego, zdążył dopaść do nich i odepchnąć tego, co zadzierał Jadźce sukienkę.

– Dziewczynka... zaczął im tłumaczyć i ręce mu się trzęsły. Rozstawił palce pokazując, że ona ma tylko osiem lat. Z sodowiarni wybiegła Frączakowa z litrową flachą bimbrową. Wtedy zostawili Jadźkę i zajęli się bimbrem. Ale nam, chłopcom, nic złego z ich strony nie groziło. Przy ognisku poznałem się z jednym Mongołem. Miał szablę na ozdobnych, nabijanych srebrnym paskach i spodnie z czerwonymi lampasami. Wysypał mi na dłoń garść cukierków.

– Bonbon – powiedział i w uśmiechu łysnął jak Murzyn białkami.

Na migi dał mi do zrozumienia, że też ma syna. A nazywał się tak jakoś, Girej-Ogi czy coś, nie zrozumiałem dokładnie. Wtedy to w odblasku ognia pokazał się krzyż z Panem Jezusem. Ten krzyż stał przy samym pałacyku. Wiatr poruszył ogniem, kłęb dymu zasnuł krzyż i w ostatnim przeblasku twarz tego Mongoła, dzika, straszna. Odruchowo przeżegnałem się. Czułem się trochę jak w towarzystwie diabła. Pociągał co prawda, ale był też strach. Mongoł pokiwał ze zrozumieniem głową, zamoknął, dłoń przyłożył do serca i powiedział – Allah!

Powiedziałem o tym Jankowi Piechurovi z Bud.

– Tak jest – rzekł – zgadza się. – Ten ich Bóg nazywa się Łach.

Śmieliśmy się, że tak się nazywa ten ich Bóg. Łach.

– Mongoły – splotał Olek Kraczoł, co chodził na „kite” – co oni mogą mieć za wiarę. Mój stary mówi, że to psia wiara.

Mimo to chciałem jeszcze zobaczyć tego Girej-Ogi, czy jak go tam. W następną wieczór znowu podszedłem do ogniska. Ale nie mogłem go poznać. Wszystkie twarze były jednakowe. Siedzieli wokół ogniska z podwiniętymi nogami. Wystające kości policzkowe i wąskie, skośne oczy, a na czołach nisko nasunięte papachy. Nie zobaczyłem już nigdy więcej tego Girej-Ogi.

Rankiem przed wyjazdem na Wolę oni przeważnie pili bimber w sodowiarni pana Frączaka. Podobno płacili nie tylko pieniędzmi, ale pierścionkami, obrączkami i monetami ze złota.

– Jak się dobrze rozgrzeją... – opowiadał ojcu pan Frączak – to nawet da radę zarobić, nie powiem, tylko ryzyko paskudne. Nie wiadomo, co im strzeli do głowy – wzdychał pan Frączak i pukał przesadnie trzy razy w niemalowane drzewo. Z jego sodowiarni często dochodziły wrzaski, śmiech, jakby wycie. Stawaliśmy od tyłu tej wpadniętej w ziemię, byle jak skleconej z desek budy, i słuchaliśmy w napięciu. Kiedyś dwóch pijanych Mongołów wytoczyło się po schodach i z szablami na siebie... Dopiero jakiś starszy rangą wjechał koniem między nich, siekając po twarzach do krwi nahają. A ich konie zawsze stały uwiązane do płotu i skubały rzadką, pokrytą kurzem trawę. Te konie też dzikie takie: jeden zarżał, wyszczerzył żółte zęby i rzucił się za mną. Krótko był uwiązany i tylko trącił mnie mokrym pyskiem w ramię. Wtedy też Janek Piechur z Bud odwiązał od płotu takiego kosmatego, mongolskiego konika. Waląc gałęzią po kłębach i krzycząc przenikliwie, pognął go w stronę glinianki. Konik rozbrykał się, popędził jak oszalały i wierzgał tylnymi nogami aż iskry szły z bruku. Z sodowiarni wypadł Mongoł, rozglądał się chwilę, zaraz ściągnął karabin i zaczął strzelać na oślep. Ludzie chowali się do bram, a on tak strzelał. Wreszcie, kiedy już nie miał nabożów i uspokoił się trochę, to jeden inwalida pokazał mu, gdzie pobiegł jego koń. Ten kosmaty konik też się uspokoił już i pasł się na łące między glinianką zwaną Oceanem, a tą drugą przy szkole. On bardzo dbali o konie, czyścili je zgrzebłem, oglądali kopyta i okrywali derkami po każdym powrocie z Woli, klepali po karku i delikatnie muskali w chrapy. Te konie też ich lubiły, za jednym, kiedy zagwizdał, to koń szedł jak pies. Więc jak te konie obładowali rabunkiem, to nawet z nich zsiadali. Kiedy znów tam na Woli za mało zdołali się obłować, to potrafili już po naszej stronie torów wpaść do jakiegoś domu, przystawić gospodarzowi karabin do piersi albo szablę pod gardło i wrzeszczeć dziko. I zabierali wtedy co bądź. A jak wypili więcej albo zły humor ich naszedł, mogli taki dom podpalić. Mongoły. Kobiety bały się ich jak ognia. Chociaż bywały w naszym miasteczku takie, co same do nich lgnęły.

W Pekinie mieszkały Trzy Siostry. Pan Frączak opowiadał w „Wenecji” przy bilardzie, że i przed wojną cały komisariat policji granatowej do nich zachodził. Trzy Siostry przyjmowały Mongołów. Z okna ich mieszkania do późna w noc rozbrzmiewało dzwonienie szkła i smętne pieśni w niezrozumiałym języku. Raz taki bal z Mongołami przeciągnął się aż do dnia i my, chłopcy z paki Janka Piechura z Bud, czailiśmy się w łopianach przy komórkach na węgiel, patrząc bacznie w trzecie okno na parterze. I zobaczyliśmy kobietę zwróconą plecami do okna w samej tylko koszuli, i obłapiały jej plecy żylaste dłonie. Ona oparta o parapet kołysała się, zrazu miarowo, później coraz gwałtowniej i zza jej pleców wynurzyła się twarz Mongoła z zamkniętymi oczyma i białymi zębami, którymi przygryzał sobie wargi. Widok był straszny i porywający. Doniczka z pelargonią spadła wtedy z parapetu. Ale która to była z tych Trzech Sióstr? Na to pytanie nie mogliśmy odpowiedzieć. Janek Piechur z Bud próbował później odgadnąć z ich dłoni. Jeżeli zobaczy jakiś pierścionek lub zegarek, znaczyło to będzie – właśnie ta! Jednak wszystkie trzy miały zegarki i wszystkie miały pierścionki. Janek Piechur z Bud doszedł do wniosku, że wszystkie one kolejno z Mongołem.

Murarz Sierotnik opowiadał, że tam na Woli kobietom palce odrabują szablami, kiedy pierścionka czy obrączki ściągnąć nie mogą.

– Tacy zawzięci... jak za cara Mikołaja, co miał wielkie jaja – kończył swoim niezmiennym rymem murarz Sierotnik i toczył się rozkolebanym krokiem ulicą Kościuszki. Zatrzymywał się jeszcze raz i patrzył tam daleko, gdzie dymiła Wola.

My, chłopcy z paki Janka Piechura z Bud, bawiąc się w powstańców i Niemców koło szczęśliwickiej wagonowni, zobaczyliśmy, jak Mongoł kozę zabrał głupkowatej Wilczyńskiej. Pasała ona kozę na nasypie kolejowym. Mongoł szedł sobie piechotą. Ręce założone do tyłu, jakby spacerował. Zatrzymał się i popatrzył na kozę. Podszedł do głupiej, wyrwał jej z dłoni postronek i pociągnął kozę za sobą.

Ta Wilczyńska rozplakała się i obejmując go za buty, wołała – Ojczulku, nie zabierajcie jedynej mojej żywicielki!

Odkopał ją buciorem i zęby złowrogo wyszczerzył. Koza też mu się opierała i pobekiwała smętnie. Wtedy wyciągnął zza cholewy granat i tak postukując ją granatem po kościstym zadzie zmuszał do posłuszeństwa. My, paka Janka Piechura z Bud, kryjąc się po krzakach, podążyliśmy za nim. Doszedł do stacji z kozą. Akurat z dworcowego bufetu Dziadka wynurzył się ten Pesel, co pracował na poczcie. Chudy, malutki i ostatnio rzadką bródkę sobie zapuścił. Mongoł już go mijał. Przystanął, tak przeciągle na niego popatrzył, i – *Komm!* – zawołał. Pesel zbladł. On najbardziej obawiał się Mongołów. Nieraz słyszałem, jak powiadał do ojca – Azja!... panie szanowny, najgorsza plaga!

I ten Mongoł wcisnął mu postronek. Kazał prowadzić kozę. Tak szli Kościuszki ulicą. Pesel ciągnął kozę, za nim Mongoł obtłukiwał ją granatem po kościstym zadzie. Ludzie wyglądali z okien, gromadzili się w bramach. Wszyscy się śmieli. Mongoł też się uśmiechał do ludzi i machał im życzliwie ręką.

– Miałem duszę na ramieniu... – zwierzał się potem Pesel ojcu. – Konspiracyjna bibuła w kieszeni, a tu taka heca, pan szanowny rozumie! – Ojciec z trudem dusił się śmiech i kiwał gorliwie głową. Ten Pesel z rzadką bródką i koza z tą swoją kozią bródką. Ojciec był przekonany, że konspiracyjna bibuła została wymyślona przez Pesela dla podreperowania ośmieszono autorytetu.

Ostatni raz widziałem Mongołów w niedzielę. Kołysali się na swoich kudłatych konikach i spoglądali czarnymi, nieprzeniknionymi oczyma przed siebie. Podążali tym razem już nie na Wolę, skierowali się bowiem do krakowskiej szosy. Próbowaliśmy ich wtedy policzyć. Doszedłem do stu dwudziestu i konie ruszyły galopem. Dalej już liczyć nie mogłem. Opuszczali nasze miasteczko.

A później żona Felka Piaskarza urodziła dziecko. Mówili u nas, że z Mongoła. Jej mąż siedział w obozie i ten chłopak, który się urodził, niepodobny był wcale do dwóch jego jasno-

włosych synów. Śniady, wąskooki, z czarnymi jak drut włosami. Po wojnie Felek Piaskarz powrócił szczęśliwie z obozu i przez długi czas wieczorami tłukł zawzięcie swoją babę, a na tego małego patrzył jak na zarazę. Raz nawet chwycił go za nóżkę i chciał nim o ścianę. Ledwo go przytrzymali sąsiedzi. W końcu się przyzwyczał i nawet tego małego, czarniawego polubił. Ten mały, Nunek przez matkę zwany, jego też. Chodził za nim jak psiak. Chował się zdrowo i dobrze. Już jako siedmioletni chłopaczek zaczął wodzić wśród swoich rówieśników i nikt się nie ośmielił – Mongoł! – wołać na niego. Bił za to przezwisko bez opamiętania.

1974

ADY TO NIEMCY...

Stara Kaczorkowa mieszkała na Wygwizdowie, koloni pod lasem. Las nazywał się serwitut. W nazwie pozostałość z dawnych chłopsko-dworskich czasów. Z lasu wypadali do wsi partyzanci. Ogolili Kwiatkowską, wdowę po rozstrzelanym sołtysie. Ona łajdaczyła się z Niemcami. Młynarza z Rogowa oćwiczyli bykowcem. Przez tydzień nie mógł siadać na tyłku. Ale najgłośniejsza była akcja na majątek. Majątek przed wojną stanowił własność Agrilu. W wojnę przeszedł pod zarząd niemiecki. Kwaterował tam pluton rezerwistów. Partyzanci atak rozpoczęli o zmierzchu. Otoczyli oficynę i siekli po oknach ogniem z erkaemów. Rezerwiści bronili się niemrawo i szybko wywiesili białą płachtę. Partyzanci odebrali im broń i puścili wolno. Podpaliwszy śpichlerz odeszli do lasu, gnając stado krów i kilka koni.

Wygwizdów podejrzany był o konszachty z lasem. Następnego dnia przybyli na ciężarówkach żandarmi i otoczyli te kilka zagród pod serwitutem. Dowodził wysoki, elegancki oficer w binoklach. Binokle miał w złotej oprawie i w słońcu szedł od nich blask.

Tak go zapamiętał Piotrek, siedmioletni wnuk Kaczorkowej. Żandarmi rozbiegli się po obejściach jak sfera wściekłych psów. W chałupie Kaczorków tupotali po strychu, zajrzeli do piwniczki. Bagnetami ryli w beczce z kwaszoną kapustą. Wywalili ubrania z szafy, wytlukli talerze z kuchennego kredensu. Stara Kaczorkowa siedziała na przypiecku i wodziła za Niemcami wzrokiem bez wyrazu. Wyglądała jak leśna czarownica. Włosy w siwych, skudlonych kosmykach, twarz jak brązowa ziemia wyschnięta z braku wody, poryta siecią ostrych zmarszczek.

Nas chłopców zawsze fascynował sposób, w jaki ona siusiała. Człapała wspierając się kosturem, nagle przystawała i rozstawiwszy szeroko nogi oddawała mocz na stojąco. Nieraz skradaliśmy się na nią godzinami, czekając cierpliwie na ten moment.

Podczas rewizji ożywiła się dopiero, kiedy jeden z żandarmów wetknął bagnet w pierzynę. Sypiała pod nią zimą i latem.

Wbił bagnet i pociągnął z rozmachem. Z czerwonej powleczki posypało się pierze.

Równocześnie z wirującym obłokiem białego puchu organizm starej Kaczorkowej zareagował w sposób spontaniczny i bezwstydnym. Z głębi jej trzewiów wydobył się długi, donośny wiatr. Oficer w złotych binoklach drgnął gwałtownie. Po jego twarzy przebiegł grymas obrzydzenia. Z pogardą popatrzył na staruchę skuloną na przypiecku.

– *Die Schweinehund!* – powiedział.

Kaczorek zawstydził się za matkę.

– Co wy! – wyszeptał. – Jak tak można?

– Ady to Niemcy – wymamrotała, nie spuszczać wzroku z rozprutej pierzyny.

Niemcy opuścili chałupę. Kaczorek odetchnął z ulgą. Nie zajrzeli do sionki. Tam miał owinięty w szmaty, naoliwiony obrzynek. U sąsiada znaleźli kilka łusek po karabinowych nabojach i to starczyło. Całą rodzinę rozstrzelali pod płotem, a dom podpalił.

Zakurzył machorkowego skręta i z pewnym uznaniem popatrzył na matkę.

Ona zaś klęcząc zagarniała rozsypane pierze i na powrót wpychała do rozprutej powleczki.

SYBIR

Lejtnant Kola kwaterował w domu wujka Mariana. Ludzie mówili, że to jednostka NKWD. Poznawali po kolorze otoków. Zamieszkał w dużym pokoju i rankiem wybiegał na podwórze. Wyciągał żurawiem kubel wody ze studni i oblewał się do pasa. Prychał i parskął. Potem gimnastykował się dla rozgrzewki. Bursztyn wyskakiwał z budy na całą długość łańcucha i oszczekiwał go zajadle.

– Nu, sabaka! – wabił go Kola. – Nie boj sia! Ja swój!

Po tygodniu pies już nie szczekał na jego widok. Ale pogłaskać się nie dawał. Warczał gardłowo i tulił uszy.

– Charoszaja sabaka – pochwalił go lejtnant Kola. Nosił długie buty z miękkiej skóry, marszczone w harmonijkę. Bluzę ścigał mocno pasem, na piersi brzęczało mu kilka medali na wstążeczkach.

Stołował się u nas. Ale nigdy nie zapominał przynieść prowiantu ze swojej oficerskiej kantyny. Przynosił w chlebaku puszki tuszonki, szmalcu, amerykańskie masło orzechowe. A mnie raz podarował przysmak w postaci czekolady. Oni mieli takie rzeczy z amerykańskich dostaw.

Po posiłku dziękował grzecznie i nigdy nie omieszkął pochwalić smaku potraw.

– Sowiet, ale umie się zachować – stwierdziła żona wujka Mariana.

Ciotka z Warszawy była tego samego zdania.

– Nie mlaska ani nie siorbie.

Tylko babka milczała. Nawet mruczała coś pod nosem. Ale ona była uważana za dziwaczkę.

Mężczyzna z niego był postawny, o szerokiej dobrodusznej twarzy z zadartym nosem.

– Nos ma kościuszkowski – zaśmiał się wujek Marian.

Raz, będąc po kieliszku, powiedział mu o tym podobieństwie do naszego bohatera narodowego. Lejtnant Kola uśmiechnął się i przytaknął grzecznie.

– Kto to jest? – zapytał po chwili – ktoś z waszej rodziny?

Wujek musiał być po kilku kieliszkach, gdyż mimo ostrzegawczych spojrzeń cioci wdał się w buńczuczną opowieść o przewagach naczelnika Kościuszki nad Moskalami.

Lejtnant Kola cały czas uśmiechał się; później powiedział coś o carach krwiopijcach, co gnębili własny naród i podbijali inne.

Wujek Marian ośmielony jego aprobatą, przeszedł nagle do czasów nowszych i zaczął wywodzić o wojnie z bolszewikami w dwudziestym roku.

– Daliśmy wam baty – oświadczył jako uczestnik tamtej kampanii.

Wtedy jego żona kopnęła go pod stołem aż stęknął z bólu. Popatrzył na nią z oburzeniem, po chwili zrozumiał i zamilkł.

Wujek był historykiem z zamiłowania i nieraz przepytывał mnie z historii wojen szwedzkich, kozackich, napoleońskich i najnowszych. Egzaminy wypadały pomyślnie i stosunki między nami układały się po partnersku. Moja pasja do historii narodziła się podczas długiej choroby, kiedy to zacząłem pożerać Szajnochę, Smoleńskiego, Korzona, Kukiela i Askenazego; wszystko, co znalazłem w bibliotece ojca.

Ale wobec lejtnanta Koli wujek Marian został poskromiony w swej elokwencji historyka dziejów ojczystych.

– Co ty wygadujesz! – strofowały go ciotki. – Przecież to Sowiet, enkawudzista! Jeszcze przyjdą po ciebie w nocy i zabiorą...

– Na Sybir! – dokończyła babka, która zdawała się drzemać dotychczas.

Później jednak wujek wpadł na chytry pomysł i mnie zaczął używać jako rzecznika swych racji.

Niby przypadkowo wszczynałem z lejtnantem Kolą rozmowę na tematy zasadnicze. Podo- bała mi się moja rola i starałem się, jak mogłem. Zwykle przed kolacją wujowie (w tych po- gwarkach brał też wuj Władysław) przygotowywali mnie starannie i uzbrojony w szereg ar- gumentów, zaczynałem na przykład o powstaniu warszawskim. Przede wszystkim szło o po- stój Armii Czerwonej na linii Wisły, który trwał do końca powstańczych walk. Wujowie oczekiwali na odpowiedź lejtnanta w napięciu.

Mówił o wymogach strategii, oddaleniu od zaplecza i konieczności dłuższego przysto- wania się do następnego skoku.

Rozmawialiśmy swoistym wolapikiem polsko-rosyjskim, zrozumiałym dla obu stron. Na- stępną „zatrutą strzałą” miało być pytanie o 1939 r. i nóż w plecy zadany nam ze Wschodu, jak powiedział wujek Marian. Ale i tym zastępczym dyskusjom położyły kres ciotki.

– Głupcy! – rzekła podniesionym głosem żona wujka Mariana. – Czy sobie wyobrażacie, że on jest tak naiwny i uwierzy, że dzieciak mówi sam z siebie?

Wujek Władysław jako starszy i bardziej doświadczony od razu przyznał ciotce rację. Za- pamiętałem powiedzenie ciotki. Mówiła o niewyparzonym języku wujka Marina. Można było sobie wyobrazić, jak się go wyparza we wrzątku.

Odtąd przy stole panowało milczenie, przerywane jedynie zdawkowymi uwagami o jedze- niu, pogodzie itp. Lejtnant Kola lubił spoglądać na szafkowy zegar wiszący na ścianie. Chwalił jego dźwięk i punktualność, z jaką wahadełka wybijały godziny. Zadzierał głowę i słuchał.

Jeszcze był epizod z jego ordynansem Wanią. Przyniósł naszemu lejtnantowi zapieczęto- wany list. Spocony, dyszał; musiał się spieszyć z tym meldunkiem. Lejtnant Kola akurat jadł śniadanie. Ordynans stanął w progu kuchni. Miał twarz prostodusznego pastuszka z sielskich obrazków. Ciotka w Warszawy wręczyła mu kubek mleka i kawałek chleba. Podziękował i zaczął pić łączywie. Wtedy lejtnant Kola nie unosząc głowy znad stołu wrzasnął coś po ro- syjsku. Ordynans pospiesznie odstawił kubek. Chleb zatrzymał w dłoni. Ponowny wrzask lejtnanta pozbawił go chleba. Tak zastygł wyprężony w służbowej postawie i patrzył gdzieś w górę.

– No tak – powiedział jadowicie wujek Marian. – U nich zawsze była wierchuszka i swo- łocz.

A potem nastąpiła ta pamiętna noc. Obudziło mnie walenie do drzwi, tupot kroków, pod- niesione głosy.

Zerwałem się z łóżka i uchyliłem drzwi kuchni. Były tu ciotki w koszulach nocnych. Wu- jek Marian wciągał pospiesznie buty. Babka z siwymi, cienkimi jak mysie ogonki warkocza- mi. Wszyscy otaczali kręgiem pocztyliona Zielińskiego.

– Wybierają jak z saka – mówił zduszonym głosem. – Mają spis i biorą wszystkich na- szych. Ładują na ciężarówki i wio! A ten wasz Kola kieruje całą akcją. Znaczy komandir. Głuchy na płacz, wszystko. Moja stara to po rękach chciała go całować, jak brali naszego Józia. A on naganem chłopaka pod zebra i skoro, skoro!...

– Gnają na Sybir! – odezwała się babka. Złożyła dłonie i zaczęła odmawiać litanię do Mat- ki Boskiej.

– Mamo, przestań! – krzyknął wujek Marian. Ona jakby go wcale nie słyszała i zawodziła jeszcze głośniej.

– Trzeba ostrzec Władysława – powiedziała ciotka z Warszawy i narzuciwszy na koszulę płaszcz wybiegła z domu. Po cichu na palcach wróciłem do pokoju. Sybir – powtarzałam. Wyobraziłem sobie coś okropnego, ponurego jak piekło. Z tym Sybirem zapadłem w mocny sen. Następnego dnia lejtnant Kola zbudził się dopiero przed samym południem. Jak zwykle wybiegł do studni. A Bursztyn wyszedł z budy i zamachał ogonem. Też polubił ruskiego. Często dostawał od niego puszki z resztkami konserw do wylizania.

Lejtnant Kola oblał się wodą z kubła. Pryskał i parskał. Stałem z boku i patrzyłem na niego pilnie. Uśmiechał się do mnie. Wyciągnął rękę, chcąc zwichrzyć mi włosy. Odsunąłem się na bezpieczną odległość. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem. Coś mruknął i ponownie oblał się wodą. Znacznie później dowiedziałem się, że wyłapywanych nocą akowców umieszczono w obozie pod Warszawą. Pierwszy rzut został uwolniony przez ludzi z lasu. Inne wywiezione bez przeszkód towarowymi pociągami na Wschód.

1987

ALBUM

Moja siostra opowiedziała o tym dopiero po wojnie. Z Hanką Noskówną przyjaźniła się od piątej klasy. Typowa zażyłość podlotków szybko wyrastających ze swoich sukienek. Sekrety, chichoty, liściki. Sam jak przez mgłę przypominam sobie swoją niezdrową ciekawość w penetrowaniu ich tajemnic. Państwo Noskowie sprowadzili się do naszego miasteczka dwa lata przed wojną. Pan Nosek, wysoki, barczysty mężczyzna z maleńkim wąsikiem, zawsze wesoły i uprzejmy wobec kobiet; dla każdej miał jakieś miłe słówko i cieszył się powszechną sympatią. Był komiwojażerem manufaktury tkanin wełnianych w Bielsku. Ciągłe w rozjazdach i dom odwiedzał niczym gość. Gospodarstwem zajmowała się pani Noskowa, drobna, niepokązna kobieta. Nękały ją przeróżne dolegliwości, często przykładła zimne kompresy na głowę i wysyłała Hankę do składu aptecznego „Belladonna” po proszki zwane kogutkami. Jeżeli mąż pojawiał się w domu, to niezmiennie witała go omdlewającym głosem – Alfredzie, tak okropnie się czuję!...

Pan Nosek pochylał się nad łóżkiem, gładził żonę czule po ramieniu, ale jego twarz pozostawała wesoła, a oczy jakby czymś innym zaprzątnięte.

W naszym miasteczku powiadano, że państwo Noskowie są niedobraną parą.

– Musi ją zdradzać – nieraz słyszało się rozmowy kobiet na targu czy w kolejce pod sklepem pana Frączaka. – Taki przystojny, żywotny mężczyzna, a ona chucherko, skrzypeczki wprost!

Moja siostra często bywała w domu państwa Nosków. Razem z Hanką odrabiały lekcje. I zawsze mówiła o panu Nosku o ożywieniu i podziwem. Wszystkie kobiety, stare czy młode, były pod wpływem uroków pana Noska. Kasjerka z przystanku EKD na jego widok uśmiechała się najpromienniejszym uśmiechem, a kelnerki w bufecie dworcowym „U Dziadka” strzelały do niego zalotnymi oczyma. Nawet w sklepie pana Frączaka, gdzie za ladą siedziała jego zła, swarliwa żona, miał prawo zakupów poza kolejnością.

– Zabiegany – burczała Frączakowa. – Taką ma pracę. Muszę człowiekowi iść na rękę.

Pan Nosek już w drzwiach przesyłał jej zartobliwego całusa dłonią.

Siostra najchętniej opowiadała o nagłych powrotach pana Noska do domu. Już na schodach rozbrzmiewało wesołe pogwizdywanie. Szedł bardzo szybko, właściwie biegł.

– Nie umiem inaczej – mówił. – Zawodowy nawyk.

Pod pachą dźwigał pudło, na guziku płaszcza uwieszone mniejsze pudełko, dłonie również zajęte paczuszkami. Pan Nosek nigdy nie wracał bez prezentów.

– Dla moich pań – tak mówił.

A potem siostra wraz z Hanką przymierzały bluzki, czapeczki, sweterki, kraciaste skarpety i boty. Pan Nosek kupował jedynie praktyczne prezenty.

– Trwałość i użyteczność – mówił – oto podstawowe zalety. Jak te wełny bielskie.

Z upodobaniem prezentował właściwości materiałów firmy, której był komiwojażerem. Siadywał na chwilę z dziewczętami do stołu. Pomagał w rozwiązywaniu arytmetycznych zdań, opowiadał anegdotki i częstował słodkim winem.

– Jak tam zdrowie naszej mamy – zapytywał Hankę, oblekając na twarz zatroskaną minę. – Lepiej się czuje, biedactwo?

I zaraz śmiał się do rozpuku, wspominając jakieś zabawne zdarzenie ze swej podróży.

Wkrótce zaczęła się okupacja i w naszym miasteczku pojawili się Niemcy. Pan Nosek nadal wyjeżdżał i wpadał do domu nieoczekiwanie, wnosząc nastrój ożywienia i wesołości. Moja siostra, tak samo jak przedtem, co dzień prawie odwiedzała Hankę i wykorzystując dolegliwości pani Noskowej, która kładła się wcześniej do łóżka, zabawiały się przymierzaniem jej garderoby. Siostra opowiadała później z przejęciem o pończochach z cienkiego jak mgiełka perlonu, bucikach z wężowej skóry czy futrzanych mufkach.

– Ostatnio... – aż zachłystywała się nagle obudzoną kobiecą zazdrością – karakułowe futro jej przywiózł!

Tych prezentów przybywało coraz więcej i były coraz kosztowniejsze. Pan Nosek jeździł teraz autem i bagażnik zapchany był paczkami. Hanka też hojnie obdarowywana przez ojca, zaczęła grymasić i przebierać w upominkach. Często krzywiła się wzgardliwie i powiadała: – Gust mojego ojczulka jest doprawdy wątpliwy! – Albo stylem dojrzałej kobiety: – Ci mężczyźni nie mają jednak wycucia rozmiaru. Patrz, to przywiózł dla mnie ojciec.

Pokazała mojej siostrze niezwykle szykowny kostium jesienny z angielskiej wełny. Niestety, zbyt obszerny.

– Przywozi i przywozi. Ale wszystko muszę oddawać do krawcowej.

Moi rodzice dziwili się nieco rosnącej zamożności państwa Nosków. U nas był to bowiem czas zaciskania pasa i donaszania starych ubrań. Czasem moja siostra zostawała na podwieczorku u państwa Nosków, gdzie częstowano ją pomarańczami, czekoladą firmy Suchard i likierem Baczewskiego. Pan Nosek trącał się z nią kieliszkiem i mówił:

– Wyrastasz, na moich oczach wyrastasz, panienko! – a kończył mrużąc oczy – niedługo wyfrunie motylek z poczwarki.

Siostra czuła wtedy gorąco oblewające policzki i była pewna, że wygląda okropnie, czerwona jak burak. Zaraz pan Nosek spojrzawszy na zegarek, zrywał się od stołu. Znów musiał wyjeżdżać w swoich interesach. I Hanka, tym ostatnio używanym stylem dojrzałej kobiety, odzywała się z dwuznacznym uśmiechem:

– Ten mój papa pewnie używa sobie na tych rozjazdach niebywale.

Tego pamiętnego popołudnia dość szybko znużyły się odrabianiem lekcji. Hanka klęcząc zajęła się robieniem rzęs i szminkowaniem ust w lustrze. A moja siostra machinalnie przewracała stronicę albumu z fotografiami, który leżał na okrągłym stoliku. Pierwsze stronicę pełne pożółkłych, owalnych zdjęć na grubym kartonie. Z tych zdjęć spoglądały martwo stare kobiety w chustach i brodaci mężczyźni w surdutach, wspierający swoje sękaty dłonie na laskach. Początek wieku. O tym świadczyły secesyjne ornamenty oplatające owal zdjęć i tłoczone gotykiem napisy. Domek w cieniu wysokich drzew, na koźle bryczki siedzi mężczyzna w kapeluszu z piórkiem. Czas już bliższy. Obok bryczki uśmiechnięty sztucznie do obiektywu chłopak w wojskowym mundurze i rogatywce na głowie. Siostra nie patrząc przerzuciła kilka stron. Obojętnie zatrzymała wzrok na niemowlęciu w pieluszkach. Młoda kobieta w długiej balowej sukni. Pani Noskowa. Tylko uśmiechnięta, pogodna, z kokieterijną grzywką na czole. Pan Nosek w sportowej koszuli, unosi w górę dziewczynkę z mysim warkoczykiem. Chyba Hanka. Pan Nosek wysiada z auta. Auto, którym teraz jeździ. W dalszym tle jakaś niewyraźna sylwetka. To zdjęcie nie wyszło. Zamazane. Moja siostra znów przerzuciła kilka stron. Plik nie wklejonych zdjęć. Rozsypują się między stronicami. Już chciała zamknąć album. Uniosła drewnianą okładkę z wyrzeźbioną na niej różą. Jeszcze spojrzała na jedno zdjęcie, które przypadkiem wysunęło się ze stosu. Pochyliła głowę z obudzonym nagle zainteresowaniem. Pochód ludzi z tłumokami i walizami. Zgarbieni, spieszą się niezgrabnie, prawie biegną. Kobiety, mężczyźni, dzieci. Bardzo ostre zdjęcie. Wykrzywione płaczem dziewczyny. Martwa twarz brodatego starca. Ktoś zasłania sobie oczy gestem znużonej udręki. Inne twarze. Zapędzony tłum. Na pierwszym planie ci, co prowadzą, z pistoletami maszynowymi wspartymi o uda, rozkraczeni, czujni. Jeden trzyma na smyczy sprężonego do skoku wilczura. Wśród nich pan Nosek. Ale inny jakiś. W skórzanej kurtce, wysokich butach, w dłoni pejcz;

właśnie uchwycona chwila, kiedy pejczem uderza się po cholewie. Twarz bez zwykłego uśmiechu, skupiona. Patrzy przed siebie surowo i władczo. Omija wzrokiem ten zapędzony tłum. Na pewno pan Nosek. Bardzo ostre, udane zdjęcie. Siostra niżej pochyliła głowę. Widać trupie główki zdobiące wysokie czapki Niemców. Maleńki wąsik pana Noska.

Spłoszył ją szelest od toaletki. Gwałtownie uniosła głowę. Hanka wpatrywała się w nią czujnie.

– Co tam oglądasz? – ostro zabrzmiał jej głos.

Odłożyła szminkę, usta miała wymalowane bardzo jaskrawo. Wstała z klęczek i szybko podbiegła do okrągłego stolika.

– Co tam oglądasz? – powtórzyła.

Chwyliła siostrę za przegub dłoni. Był to silny, brutalny uścisk. Ale siostra wyprzedziła ją i jeszcze zdążyła upuścić to zdjęcie między rozchylone stronicie albumu. Drugą wolną ręką mieszała z innymi. Spojrzała z udanym zdziwieniem na Hankę, a serce biło jej mocno, głucho.

– O co ci chodzi? – zapytała.

Hanka pochyliła się nad albumem. Gwałtownymi ruchami przerzucała fotografie.

– Zobaczyłaś coś ciekawego? – wpatrzyła się w nią przenikliwym, obcym wzrokiem.

Siostra spróbowała uśmiechnąć się, ale tylko skrzywiła usta. Milczały. Noskówna zamknęła album. Moja siostra ziewnęła nerwowo i zaczęła z nagłym ożywieniem rozprawać o czymś błahym. Ale Hanka nie była już taka jak przed chwilą: wesoła, niefrasobliwa chichotka. Skupiona, napięta. A co było potem? Moja siostra już dokładnie nie pamięta. Pod pretekstem choroby i rozmaitych obowiązków bywała u państwa Nosków coraz rzadziej. Raz jeszcze zobaczyła pana Noska z bliska. Była u Hanki i przygotowywały się do klasówki z matematyki. Nagle przyjechał pan Nosek. W ośnieżonym futrze wbiegł do stołowego pokoju.

– Czołem dziewczęta! – był uśmiechnięty jak zwykle. Szczypnął Hankę w policzek. Siostra wtuliła się w kąt kanapy i ogarnęło ją przerażenie. Nie patrzyła na niego wcale. Stał tak blisko, a ona nie unosiła głowy.

– No i jak idzie nauka, moje panny? – zapytał.

Hanka coś odpowiedziała. Moja siostra nadal nie unosiła głowy. Widziała tylko roztapiający się śnieg na kołnierzu jego futra. Dopiero kiedy wychodził ośmieliła się unieść głowę i rzucić na niego krótkie spojrzenie. Zobaczyła go znów z pejczem, którym dotykał cholewy buta. Spłoszył ją wzrok Hanki i szybko opuściła głowę. Ciągle wydawało się jej wtedy, że w oczach Hanki pojawia się natarczywe pytanie: – Co tam zobaczyłaś?

W domu jednak nigdy o tym nie wspominała ani jednym słowem. Nawet jeżeli rodzice zastanawiali się nad zajęciami pana Noska.

– Mętna persona – twierdził ojciec.

Milczała.

– Ludzie rozmaicie o nim mówią – to matka.

Też milczała.

Ciążyła jej ta wiedza z fotografii. Ale z nikim nie mogła się nią podzielić. Po prostu nie mogła. Znajomość z Hanką skończyła się na szczęście dość szybko potem. Pewnego ranka pod dom państwa Nosków zajechała ciężarówka. Tragarze wynosili z mieszkania wielkie skrzynie na pasach. Przeprowadzka. Wyjechali gdzieś w nieznaną. Hanka nie przyszła się nawet pożegnać. Moja siostra z ulgą odprowadziła spojrzeniem oddalającą się ciężarówkę.

Był to drugi powojenny rok i siostra rozpoczęła studia na uniwersytecie. Bardzo przejęta swoją białą, studencką czapką i nowymi znajomościami. Wracała akurat z wieczornych zajęć na uczelni. W tłumie spieszącym na dworzec zobaczyła Hankę Noskównę. Przyspieszyła kroku. Potrącając przechodniów, dotarła bliżej.

– Hanka! – zawołała.

Tamta obejrzała się gwałtownie. Od razu poznała siostrę. Ale w jej oczach nie było radości. Tylko zaskoczenie i strach. Zaczęła odchodzić pośpiesznie. Prawie biegła.

– Hanka! – jeszcze raz zawołała moja siostra. Tamta nie obejrzała się. Zniknęła w tłumie. I choć siostra nadal rozglądała się bacznie to jednak nie odnalazła jej już. Zniknęła bez śladu.

Dopiero po tym przypadkowym spotkaniu z Hanką Noskówną moja siostra opowiedziała o wszystkim, co zdarzyło się wcześniej.

1974

WUJEK KAŁASKO

Powietrze dyszało upałem i nawet kąpiel w gliniance nie dawała żadnej ulgi. Dopiero w mieszkaniu ogarnął przyjemny chłód. Otworzyłem drzwi małego pokoju i stanąłem jak wryty. Wujek Kałasko pochylał się nad łóżkiem. Był tylko w kalesonach, które zsunęły się z bioder i tam w dole zamajaczyła skołtuniona siwa gęstwa. Zobaczyłem podbrzusze jak u starego kocura siwym futrem podszyte. Wujek Kałasko poderwał głowę i szybkim ruchem podciągnął te fałdziste, szerokie kalesony.

– Widziałeś coś! – jedną ręką przykrył to miejsce niżej brzucha, a drugą podtrzymał kalesony.

– Nie – skłamałem.

Przy jego przysłowiowej już wstydlivosti to pytanie wcale nie było zaskakujące. Chwilę spoglądał na mnie. Minę miał bardzo niepewną, śmieszoną. Podeszedł do okna i wraz z chrzęstem zaciąganej zasłony ciemność zapanowała w pokoju. Jak zwykle szykował się do popołudniowego odpoczynku. Czyżby był taki stary? Ta biała plama włosów ciągle stała mi przed oczyma. Twarz miał jednak gładką i jego szare włosy uczesane z przedziałkiem nie znaczyły się ani jednym siwym włosem.

Tego samego dnia, tylko wcześniej, przechodząc się koło altanki w ogródku, posłyszałem głos mojej matki. Mówiła o wujku i o pani Jance.

– Nonsens – powiedział ojciec.

Pani Janka była przyjaciółką matki i chodziła w żałobie. Trzy lata temu umarł jej mąż, naczelnik miejscowej poczty.

– Gryzie się biedactwo – mówiła o niej matka – taka to była dobrana para.

A wujek Kałasko był żołnierzem Andersa i niedawno wrócił z Anglii. Wszyscy bardzo byli ciekawi jego przeżyć. Jednak kiedy goście moich rodziców dopytywali się o jego wojenne przygody, szczególnie pragnąc opowieści o Monte Cassino, wujek odpowiadał monosylabami, w dodatku szeptem.

– Nie umie wyrazić słowami tego, co przeżył – uznała moja matka.

Wujek Kałasko miał w rodzinie opinię nieśmiałego niedołęgi. Byłem zdziwiony, kiedy przypadkiem zobaczyłem jego wojenne odznaczenia, a wśród nich Virtuti Militari.

Ale nic prawie nie powiedział mi o okolicznościach, w których otrzymał to odznaczenie.

– Eh, tego tam... – tak bąkał i dukał.

Niezgrabny, krzywonogi jak kawalerzysta, z rzadkimi, szarego koloru włosami ulizanymi w przedziałek. Jednak nie dostał tego Virtuti Militari za byle co. Dobrze zapamiętałem słowa Zenona Mordy, któremu zwierzyłem się z widoku siwego podbrzusza wujka Kałaski.

– Z przeżyć... – powiedział Zenon Morda – jedni siwieją górą, inni dołem.

– Stary kawaler – mówiła moja matka o wujku Kałasce.

Lubiłem go. Traktował mnie jak dorosłego i słowem nawet nie wspomniał matce, że palę papierosy w ubikacji. Choć sam nie palił. Potępiał alkohol i papierosy.

– Raczej nie przyzwyczajaj się do tych świństw – tak tylko powiedział i z lekkim wstrętem rozgonił dłonią obłoczek z papierosowego dymu.

Pani Janka, ta uroczą osóbką, jak mówiła moja matka, znalazła się wśród gości na imieninach ojca i wujek Kałasko został posadzony po jej prawej stronie.

– Baw panią, Franku – poleciła moja matka.

Pani Janka spojrzała na niego powłóczyście i palcami przeczesowała maleńką grzywkę na czole. Wujek Kałasko zmieszał się wyraźnie, odwrócił od niej wzrok i ze zdwojoną gorliwością począł podsuwać jej półmiski z potrawami.

Kuzyn matki, Staszek, wojenny bohater rodziny, stroił błazeńskie miny do wujka, aż wreszcie niby to szeptem głośno powiedział: – Wujek, ruszaj się żwawo! Taka łania obok, a wujek bombardier nic?

Wujek Kałasko stropił się jeszcze bardziej i pani Janka zachichotała leciutko.

Wtedy to dowiedziałem się od kuzyna Staszka, że wujek był sierżantem w dyonie artylerii.

– Dyon – smakowałem to słowo – dyon...

Matka z oddalonego miejsca u czoła stołu rzucała od czasu do czasu uważne spojrzenia na wujka Kałaskę i panią Jankę. Rozjaśniła się jej twarz, kiedy wujek Kałasko przesunął się do pani Janki i zaczął opowiadać o urokach pejzażu włoskiego w okolicach Bari i Brindisi.

– Niesłychane! – z wielką egzaltacją powtarzała po każdym jego zdaniu pani Janka.

Chichotałem po cichu, bo na przykład wujek Kałasko mówił tak:

– Okolice biedne, gleba marna, wypalona słońcem i lud tam biedny, ciemny jak u nas na Polesiu...

A pani Janka już wyjeżdżała z tym swoim: – Niesłychane. Fantastyczne.

Wujek dalej wolnym głosem opowiadał swoje wrażenia z Italii, nie patrząc wcale na nią i nie interesując się jej reakcjami.

W jakiś czas po imieninach moja matka uśmiechnęła się zagadkowo i powiedziała tak:

– Franku, dziś na kolacji będzie pani Janka.

Wujek Kałasko zamruczał coś niezrozumiale. A wieczorem zniknął bez śladu. Rodzice byli zmieszani. Pani Janka pachniała ostrymi perfumami. Rozmowa nie kleiła się i najmniejszy odgłos kroków przed domem zwracał od razu uwagę wszystkich na drzwi. Jednak wujek Kałasko nie przyszedł na kolację.

– Miał jakąś pracę zleconą w biurze – skłamała moja mama – pewno przedłużyło mu się.

Wtedy odwiedził nas emerytowany nauczyciel, pan Leopold Wnuczak. Z jego przyjściem przy stole uczyniło się gwarno i wesoło. Pan Leopold śpiewał rozmaite piosenki. Repertuar miał bardzo rozległy. Od *Przybyli ułani pod okienko*, poprzez *Okę* i *Rozszumiały się wierzby płaczące*, do *Czy pani mieszka sama czy razem z nim?*

– No, razem – wołał i zmuszał nas wszystkich do powtarzania refrenu.

„Dusza towarzystwa”, tak nazywała go moja mama. Bardzo była zadowolona, że tak intensywnie wypełnił pusty i denerwujący czas w oczekiwaniu na wujka Kałaskę.

Na koniec pan Leopold Wnuczak zasiadł do pianina i akompaniując sobie, zaśpiewał *Marsz Mokotowa*. Pani Janka chusteczką wytarła oczy.

– Widzisz! – szepnęła moja matka do ojca. – Jaka ona jest uczuciowa.

Ale emerytowany nauczyciel, pan Leopold Wnuczak, nie liczył się wcale w planach mojej matki.

– Wolny!?! – oburzyła się, kiedy ojciec tak określił jego stan cywilny. – Wolny! Po prostu żona uciekła od tego potwora.

Z tego, co dalej powiedziała wynikało, że pan Leopold potrafi zameczyć człowieka swoim muzykowaniem, śpiewem i turystyką, którą namiętnie uprawiał.

Ja przede wszystkim zapamiętałem pana Leopolda z powodu krzyżówek.

Miał znajomego sprzedawcę gazet i ten pozwalał mu przerysowywać z czasopism krzyżówki i szarady.

– Jeden dzień poświęcam na przerysowanie – mówił pan Leopold, który był człowiekiem niezwykle oszczędnym – a potem przyjemność na cały tydzień.

Do przerysowywania używał przezroczywej bibułki i czynił to bardzo starannie.

Stary sprzedawca gazet tylko kiwał głową.

– To ci dopiero – mruczał.
Fascynowała go mrówcza cierpliwość pana Leopolda.
– A ponadto jest za stary – zakończyła moja matka rozważania na jego temat.
Tego wieczoru wujek Kałasko wrócił bardzo późno. Matka jednak czuwała.
– Franku... – powiedziała z wyrzutem – zachowałeś się niestosownie. Pani Janka dopytywała się o ciebie.
Stała w uchylonych drzwiach małego pokoju. Wujek Kałasko w milczeniu rozkładał metalowe łóżko, na którym sypiał.
– Byłem w kinie – odezwał się wreszcie. – Polski film. *Zakazane piosenki...* Przeżyliście tu w kraju... Po prostu istne piekło...
Oto jak chytrze zmienił temat. Zaraz ojciec po raz któryś zaczął opowiadać o naszym życiu podczas okupacji. Ale matka nie dała się wywieść w pole tak łatwo.
– Przecież cię uprzedzałam.
– Wolałem pójść do kina – odpowiedział wujek Kałasko.
Tym zbił z tropu matkę zupełnie. Patrzyła jeszcze chwilę na niego i cicho zamknęła drzwi małego pokoju.
– Siwy postawił się wreszcie – powiedziałem z uznaniem.
– Dlaczego Siwy? – zainteresował się ojciec.
– Bo Siwy – odparłem.
Wujek Kałasko był jednak człowiekiem łagodnym i ustępliwym. Toteż w następnej proszanej kolacji z panią Janką posłusznie brał udział i nawet pomrukiem nie zaprotestował, kiedy moja matka powiedziała tak:
– Franku, o tej porze dla samotnej kobiety powrót do domu nie jest bezpieczny...
Nie dał matce dokończyć.
– Oczywiście... – poderwał się i skłonił się przed panią Janką, rzekł: – Pani pozwoli.
Na schodach ujął ją pod ramię. Nie było go około godziny.
– Tylko go rozruszać – moja matka taką postawiła diagnozę. – Później sprawa potoczy się normalną koleiną. Tak jak dyktuje natura.
Ojciec miał minę raczej sceptyczną.
Ja natomiast nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Czasami wujek Kałasko zachowywał się jak zwykły tchórz po prostu.
Miał takie fajne rzeczy z wojska, zielone koszule z wieloma kieszeniami, spodnie i bluzy z napisem – Poland, czarny beret ze wstążką. Ale nigdy ich nie nosił. Ułożył w stos i wepchnął głęboko w kąć szafy.
Ubierał się w stary, powycierany garnitur w prążki z przedwojennych czasów i naciskał na uszy powypychany kapelusz.
Swoim wyglądem budził śmiech.
– Franku – zapytaj ojciec – masz takie świetne sorty mundurowe. Czemu tego nie nosisz?
– Tutaj jest to źle widziane – odpowiedział szeptem wujek Kałasko.
– Z Siwego jest po prostu cykor – uznałem. Miałem o to cichy żal do wujka. Zenon Morda tak świetnie naśladował jego ślamazarny głos i niskie ukłony w sklepie Trakula.
– To był żołnierz! – powiadał. – Jaki tam żołnierz!
W tym czasie moja matka nie próżnowała i w kręgu jej zainteresowań znalazł się nauczyciel Kaft, który również był samotny.
Wujek Kałasko wyjechał służbowo do Krakowa i na kolację została zaproszona pani Janka z nauczycielem Kaftem. Ale Kaft nie spodobał się panie Jance. Sam też się nią wcale nie zainteresował, tylko jadł za dwóch i swoim tubalnym głosem z twardym, bulgotliwym akcentem pomorskim wychwalał kulinarne talenty mojej matki.
– Ten schabik rozplywa się w ustach. Delicje nie schabik... – i tak dalej.

A mnie nie wiadomo dlaczego szczyptał znienacka w pośladek i zachichotał. Spojrzałem na niego zdumiony. Minę miał poważną, stateczną i prowadził z ojcem rozmowę o kłopotach wychowawczych w VII b, najgorszej klasie w szkole. Jego wizyta to był właściwie epizod. Wkrótce już w ogóle nie mówiono w naszym domu o nauczycielu Kafcie. Powodem tego stał się głośny skandal, który wydarzył się na podwórzu jego kamienicy. Pani Przysadkowa, matka ucznia z VII b, tej najtrudniejszej wychowawczo klasy, jak powiadał ojciec, który był kierownikiem szkoły, wpadła wczesnym rankiem jak furia na podwórze kamienicy. W niezwykłym jak na jej tuszę tempie wbiegła na trzecie piętro i waląc pięścią w drzwi powtarzała: – Ty zwyrodnialcze, już ja cię nauczę.

Ale w mieszkaniu nauczyciela Kafta panowała głucha cisza. Przysadkowa z oburzeniem popatrzyła na wyrysowane kredą święte litery K + M + B i powoli zaczęła schodzić w dół, odpoczywając na każdym półpiętrze. Stała na środku podwórza przy trzepaku, podparła się pod tłuste, fałdziste boki i zwierzyła się z powodów swego gniewu dozorczy.

– Paskudziarz nie nauczyciel – podniosła głos. – Chłopaka mojego do różnych świństw namawiał. Winem poił, cukierkami częstował...

– No i co? – zaciekawił się dozorca.

– Co! – aż zagulgotała Przysadkowa. – Nawet wstyd mówić. Do rozporka mu sięgnął i za ptaka!

Wygrazając pięścią sypnęła serię obelg do tego uchylonego nieco okna na trzecim piętrze.

– Za ptaka? – powtórzył parę razy dozorca i zadarł głowę, wpatrując się w to okno na trzecim piętrze.

Mój ojciec, który był kierownikiem szkoły, odbył rozmowę z nauczycielem Kaftem. Na wstępie długo chrząkał, bawił się ołówkiem, przekładał papiery na biurku i wyraźnie unikał spojrzenia nauczyciela Kafta. Przyczajony w ogrodzie za uchylonym oknem coraz unosiłem głowę i widziałem ich dokładnie.

– Cóż to, kolego, wyprawiacie... – zaczął wreszcie ojciec – jakieś brewerie, mówią ludzie, do kuratorium niestety, sprawa się kwalifikuje...

Urwał naraz. Nauczyciel Kaft zsunął się z krzesła, klęknął na podłogę i przeżegnał się zamazyście.

– Co wy, kolego? – zdumiał się ojciec.

Nauczyciel Kaft pochylił swą okrągłą jak piłka głowę i wybałuszył niebieskie oczy lalki.

– Klnę się na Bożą mękę, kolego kierowniku, to są podłe kalumnie... Ten Przysadek, drań, uczyć się nie chciał, niedostateczny mu groził, z zemsty bestia... – i załkał cienko, ciągle na klęczkach, ze złożonymi jak do modlitwy rękoma.

Wyglądał wstrętnie, łysa, okrągła głowa, obwisła wargą i te niebieskie oczy lalki. Wyobraziłem sobie, jak powoli, zdradziecko sięga mi do rozporka.

– Trzeba będzie ukrećić łeb tej przykrej sprawie – oświadczył wieczorem ojciec. – Przede wszystkim z powodów pedagogicznych należy to zatuszować.

Matka skrzywiła z obrzydzeniem usta. Wujek Kałasko roześmiał się nagle.

Rodzice spojrzeli na niego zdziwieni.

– U nas w baterii... – powiedział wujek Kałasko – też był jeden taki... Chory człowiek, nie mógł się opanować. Kocówkę mu daliśmy, tydzień na tyłku nie mógł siedzieć... I wcale nie miał żalu. Bijcie – mówił – może wybijecie to świństwo ze mnie wreszcie.

Tak powiedział i ponownie zagłębił się w lekturze gazety. W tym czasie pasjonowały go wyniki referendum wyborczego. Ale „Głosu Ameryki” nie chciał z ojcem słuchać.

– Podobno... – zniżył głos – z tego słuchania wyciągają przykre konsekwencje.

– Dziwny z niego człowiek – powiedziała z zastanowieniem matka. – Ten kawalerski stan wyraźnie mu nie służy. Trzeba mu pomóc. Stanowczo pomóc!

Moja matka była bardzo życzliwa ludziom i pomagała im, jak mogła.

Praczką Goldysową, kiedy tylko jej mąż po pijanemu zabierał się do bicia i groził, że zarobie ją siekierą, uciekała z domu i noc spędzała u nas.

Podczas takich nocy matka długo nie mogła zasnąć, przewracała się z boku na bok i powtarzała: – Koszmar!

Również z inicjatywy matki skojarzone zostało małżeństwo Krysi Grudzińskiej z Zenonem Mordą. Krysia, najlepsza uczennica i pupilka matki, po ukończeniu szkoły została krawcową. A Zenon Morda, znany w miasteczku zabijaka, przywódca szajki chłopaków handlujących z kolejarzami, w ogóle nie chciał pracować.

– Krysia będzie miała zbawienny wpływ na niego – uznała moja matka. – Ponadto z takiego kontrastu charakterów wynikają najlepsze stadła.

Po sześciu miesiącach energicznych zabiegów matki odbył się ślub tej pary w miejscowym kościele.

– Jak dotąd bardzo dobrze żyją ze sobą – komunikowała moja matka.

Ojciec tylko chrząkał i uśmiechał się zagadkowo. Dowiedział się już bowiem o tym, o czym moja matka jeszcze nie wiedziała. Jak to Zenon Morda pobił teściową, jak to nie było go tydzień w domu. I o tym, że dotąd pracować nie chce i nadal zajmuje się grą w karty i bilardem.

Ale nic ojciec nie mówił i przytakiwał matce, która coraz bardziej promienną przyszłość dla tej młodej pary przewidywała.

Z tych samych powodów moja matka zajęła się panią Janką.

– Przystojna, młoda... – wyliczała skwapliwie jej zalety. – Pracowita i taka czysta. Samodzielna, zarabia przecież nieźle. A co za charakter... Po prostu skarb!

Tak wyliczała i patrzyła na wujka Kałaskę. Wujek zachowywał milczenie. Jego twarz była bez żadnego wyrazu. Matka dalej wyliczała przymioty pani Janki. Wujek nakładał okulary i chował twarz za rozpostartą płachtą gazety.

Czasem matka traciła cierpliwość.

– Głaz! Istny głaz! – mówiła podniesionym głosem.

Gazeta, za którą chował się wujek Kałasko, nie zaszeleściła nawet. Ojciec trącał matkę w ramię. Gaszono światło w stołowym pokoju i wszyscy rozchodzili się spać.

Jeszcze patrzyłem przez uchylone drzwi na wujka Kałaskę, który w długiej, nocnej koszuli klęczał i modlił się żarliwie przy swoim połowym, rozkładanym łóżku.

Pani Janka pojawiała się często w naszym domu i wujek Kałasko nigdy już nie był o jej wizytach uprzedzany. Witał ją zawsze ze staroświecką galanterią i czuwał nad jej talerzem, powtarzając monotonicznie:

– Czy życzy pani sobie coś jeszcze?

Pani Janka zerknęła na niego i zaraz poprawiała tę śmieszny, rzadką grzywkę na czole.

Wujek Kałasko czuł chyba jej spojrzenie, gdyż niżej pochylał głowę albo zaplatał palce i kręcił nimi szybkiego młynka.

– Tworzyliby udaną parę – moja matka przypatrywała im się z upodobaniem. – On taki sztywny, nieśmiały. A ona wesoła, fertyczna blondynka.

Pewnego dnia wujek Kałasko wrócił z biura niezwykle ożywiony. Telefonował do niego dowódca jednostki, w której służył. Też wrócił z Anglii.

– Chce dowiedzieć się jak zacząć – powiedział wujek Kałasko. – Ja tu jestem już rok, więc liczy na mnie. Kapitan Miączyński. Pod Tobrukiem dostał Virtuti... Co mu mogę powiedzieć – bezradnie rozłożył ręce.

– Jak to? – zdziwiła się matka – przecież zadomowiłeś się na dobre.

Wujek Kałasko drobnymi łykami popijał herbatę.

– Najgorsza jest ta szuflada pamięci – powiedział nagle. – Szuflada pamięci... – powtórzył wujek Kałasko. – Pełna... Pamiętasz... – zwrócił się do mojej matki – jak zdałaś maturę, taka

pannica z warkoczem do pasa, poszliśmy do Hersego... Ja, ojciec, jeszcze Ania. A ty przymierzalas kapelusze. Nie można cię było od tych kapeluszy oderwać...

Matka z trudem przypomniała sobie to zdarzenie.

– Trzeba się przestawić – rzekł ojciec – niezdrowo żyć tylko przeszłością.

Wujek Kałasko bez przekonania pokiwał głową. Wtedy pani Janka przysłała do nas na podwieczorek i moja matka zastawiła kolejną pułapkę. Nastrój był bardzo wesoły. Wujek Kałasko, poruszony powrotem kapitana Miączyńskiego, opowiadał wojenne anegdotki i pani Janka zanosila się wysokim śmiechem.

– Franciszek – zażartowała mama – taki z cicha pęk, przed wojną nie było zabawy, którą by opuścił...

– Panie Franku... – pani Janka filuternie zmrużyła oczy. – Niech no pan opowie, jak to właściwie było?

Wujek Kałasko rzucił pełne wyrzutu spojrzenie w stronę matki i spochmurniał.

– Fantazja mojej siostry – oświadczył. – Nawet tańczyć nie umiem...

Pani Janka znów zanosila się wysokim śmiechem.

– Ci mężczyźni – powiedziała – tacy dyskretni na temat swojej przeszłości.

– Czasem nie ma co ukrywać – powiedział wujek. – Studiowałem, dorabiałem korepetycjami, na nic innego nie było czasu.

W tej chwili zauważyłem porozumiewawcze spojrzenie, jakie matka wymieniła z ojcem. Jednocześnie wstali od stołu.

– Bardzo przepraszamy – wybąkał ojciec – ale właśnie... – utknął i bezradnie spojrzal na matkę.

– Zabaw, Franku, panią – pospieszyła w sukurs moja matka – my tymczasem musimy jeszcze zajrzeć do szkoły.

Od razu wiedziałem, że to pułapka. I rodzice poszli sobie. Pozostaliśmy we trójkę przy stole.

– Może dolać herbaty? – zapytałem, żeby rozładować to ciężkie milczenie, które zapanało po wyjściu rodziców.

Nikt nie chciał herbaty.

– Byłem wczoraj na wagarach – odezwałem się znów.

– Bardzo nieładnie – powiedziała pani Janka – tak się wszelkie zło zaczyna. Od rzemyczka do koniczka, nieprawdaż, panie Franciszku?

Wujek Kałasko wzruszył ramionami. Do mnie uśmiechnął się życzliwie.

– A gdzie najlepiej spędzacie wagary? – zapytał.

– Na fortach – odpowiedziałem – tam są takie kazamaty, podobno ciągną się kilometrami.

Pani Janka popatrzyła na wujka z naganą.

– Na wagary chodzą tylko źli chłopcy.

– E tam – zbagatelizował wujek Kałasko – młody, to go energia rozpiera. Musi się wyszumieć.

– Czyżby pan mówił to poważnie? – pani Janka poczerwieniała i jej pierś pod czarną wdową bluzką zafalowała szybko.

– Sam też chodziłem na wagary – odpowiedział wujek Kałasko.

Zapadło milczenie. Pani Janka westchnęła ciężko. Wujek Kałasko wyciągnął z kamizelki pękaty zegarek na metalowej dewizce.

– Na którą idzie pani do pracy?

– Na siódmą – odpowiedziała po chwili, zdziwiona jego pytaniem.

Wujek Kałasko odsunął energicznie krzesło i wstał od stołu.

– No właśnie... My tu gadu-gadu, a pani musi wczesnym rankiem...

Razem z nim odprowadziłem panią Jankę. Była obrażona. Szła szybko i całą drogę milczała. Przy pożegnaniu tak wyniośle podała wujkowi rękę do pocałowania.

– Uff... – zamruczał wujek Kałasko, kiedy już pozostaliśmy sami.
Wielką chustką starannie wytarł twarz. Wracając natknęliśmy się przypadkiem na nauczyciela Kafta. Szedł szybko, prawie biegł, i spłoszył się wyraźnie na nasz widok.
– Poluje – powiedział wujek Kałasko, uśmiechając się dziwnie.
– Poluje – powtórzyłem.
Próbowałem wyobrazić sobie to polowanie nauczyciel Kafta.
– Oburzające! – powiedziała moja matka. – Tak się zachować. Jak najgorszy prostak! Zmusiłeś ją brutalnie do opuszczenia mojego domu...
Stała w uchylonych drzwiach małego pokoju, a wujek Kałasko modlił się przy swoim polowym, rozkładanym łóżku.
– Dajcie mu wreszcie spokój! – wykrzyknąłem. – On jest bardzo stary i potrzebuje spokoju.
Matka zastanowiła się.
– Wcale nie taki stary – zaprzeczyła – tylko dziwak i nic więcej.
Długo nie mogłem zasnąć i wyobrażałem sobie polowanie nauczyciela Kafta.
Moja matka wybrała się do pani Janki z przeprosinami. Przed tym spotkaniem była pełna niepewności. Do domu wróciła jednak rozpromieniona.
– I wyobraź sobie... – z satysfakcją opowiadała ojcu – wcale nie straciła zainteresowania jego osobą.
Ojciec skrzywił się.
– Wrócił człowiek z wojennej tułaczki... – zaczął.
Matka przerwała mu gwałtownie.
– To jest mój brat – powiedziała. – I ja go znam najlepiej...
Rozmowa w tej sprawie przeciągnęła się do późna.
Udawałem, że śpię, i słyszałem wszystko. W najbliższych planach mojej matki Boże Ciało miało być tym dniem, który zbliży ostatecznie wujka Kałaskę do pani Janki. Zamierzała bowiem zaproponować wujowi wspólną wycieczkę do Łowicza.
– Jest taki religijny i na pewno nie odmówi – rozważała moja matka. – Nie będzie już mógł się wymigać.
Zamierzałem uprzedzić wujka. Ale wypadki potoczyły się tak szybko, że moja pomoc okazała się niepotrzebna.
Dwa dni przed Bożym Ciałem zdziwiło nas wszystkich, że wujek Kałasko nie poszedł do biura. Pozostał w domu i długi czas nie wychodził z małego pokoju. Dobiegało stamtąd pogwizdywanie z ciągle powtarzającą się melodią.
– Może chory? – zaniepokoiła się moja matka.
Zajrzałem do niego i zobaczyłem stosy koszul, ubrań, bielizny ułożone w równych stosikach na łóżku. Pakował to wszystko do brezentowego worka. Za mną stanęła matka.
– Franku – zapytała – stało się coś?
Wujek Kałasko upychając w worku swój dobytek, podniósł głowę, przestał pogwizdywać i odpowiedział: – Wyjeżdżam.
Teraz we trójkę, gdyż dołączył się do nas ojciec, patrzyliśmy na wujka Kałaskę i jego brezentowy worek.
– Coś się stało? – powtórzyła matka.
Wujek Kałasko obracał w dłoniach czarny beret ze wstążeczką.
– Chcesz? – uśmiechnął się i podał mi beret.
Ucieszyłem się i od razu przymierzyłem.
Wujek Kałasko pochylił się i kolanami zaczął upychać zawartość worka. Pytanie matki pozostało bez odpowiedzi.
Wtedy posypały się następne jej pytania.

– Franku... – mówiła drżącym głosem moja matka – uraziłam cię czymś? Źle się czujesz? Zwolnili cię z posady?

Wujek Kałasko pokręcił przecząco głową. Zaciągnął gruby sznur na wierzchu worka. Zawiązał węzeł. W to południe pełne pakowania, pytań mojej matki, milczenia wujka Kałaski i pochrząkiwania ojca wkroczył pan Leopold Wnuczak, emerytowany nauczyciel.

Był jak zawsze roześmiany i kipiał harcerską werwą. Opowiedział kilka dowcipów i ani się obejrzelśmy, jak zasiadł do pianina. Grać zaczął – *Stokrotka rosła polna, a nad nią szumiał gaj...*

– Niech pan przestanie! – wrzasnęła moja matka.

Pan Leopold Wnuczak przerwał granie i zwrócił do nas swoją roześmianą twarz z wielkim nosem zakończonym siną brodawką.

– Czyżbym fałszował?

Wujek Kałasko pożegnał się z nami. Poprawił mi beret na głowie. Zarzucił worek na plecy.

Dopiero po miesiącu przysłał nam zdawkowy list. Wyjechał na ziemie odzyskane. Podjął pracę w PGR jako księgowy.

Znacznie później dowiedzieliśmy się, że żył tam z kucharką.

– Coś podobnego! – po tej ostatniej wiadomości moja matka wzniosła ręce do nieba.

– Postarał się Siwy – powiedział ojciec i uśmiechnął się wesoło.

1974

WYCIĄGNIJ SPLUWĘ I POSTRASZ JĄ TROCHE!

Po tym litrze Zenon Morda wyraźnie się ucieszył.

– Spotkaliśmy się jak wróble, to wypijmy po kubie... – tak całkiem poufale zaczął sobie z nim poczynać przy drugiej butelce. Aż wypili brudzia. Takiego prawidłowego, z głębi serca brudzia, z obślinianiem i głośnymi cmokami pocałunków.

W tej naszej knajpie u Dziadka popijali i gapili się na nich ludzie. Nawet Dziadek wyrwał się ze swojej zwykłej ospałości. Sam zaczął ich obsługiwać. Pewnie chciał posłuchać, o czym gadają. A oni jak bracia. Ten porucznik Gulalka pas z kaburą powiesił na oparciu krzesła i cały czas zaśmiewał się. Zenon Morda jak chciał to potrafił być przymilny i umiał ludzi owijać koło palca. Wyszli z knajpy trzymając się pod rękę. Odtąd zaczęła się ich zażyłość.

– Józek! – wołał Zenon Morda za porucznikiem.

A porucznik: – Cześć Zeniu!!

– No i co? – krzywił bezczelnie swą pokerową twarz Zenon Morda. – Nie taki diabeł straszny, jak go malują.

Ale ludzie jak to ludzie.

– Żebyś czasem biedy sobie nie napytał – na to Czesiek Rekin, drugi po nim macher od hazardu. I tym ostatnim palcem z paznokciem-szponem w ucho zaczął gmerać jak w kopalni.

– Wzmoczona produkcja organizmu – wyjaśniał chętnie. – Jak nie nastarczę wydłubywać, wtedy ogłuchnę... – Lubił jednak tę czynność. Uśmiechał się błogo.

– Z takiej znajomości tylko bieda – z uporem powtórzył.

– Ja tam wcale w to się nie mieszam – ocknął się Dziadek, kiedy tak sobie gwarzyli, pocierając bilardowe kije.

Zenon Morda śmiał się z tej ich szcurzej ostrożności. On był ryzykant. Ryzykant i coś z wilka w sobie miał.

Pamiętam, jak temu grubemu złotego szafhausena z owłosionej łapy zerwał. Jechaliśmy na przednim pomoście naszej kolejki EKD. To złoto zabłysło w słońcu. Zenon Morda zapatrzył się i oczy mu się zaświeciły. I na zakręcie za przegub dłoni tego grubego chwycił. Zerwał złoto i wyskoczył. W pełnym biegu, gdyż kolejka minawszy skrzyżowanie znów nabrała pędu. Wyskoczył i upadł, stoczył się do rowu, zaraz jednak wstał, otrząsnął się jak pies i pobiegł w badylarskie pola ze swoją zdobyczą.

– Zegarek! Gdzie mój zegarek! – wrzeszczał gruby na pomoście. Szarpnął za hamulec. Kolejka stanęła w polu. Na nic to mu się nie zdało, jeszcze karę według przepisów musiał zapłacić. Z jego nieszczęścia ucieszyli się ludzie i nikt nie sypnął Zenona Mordy. Podobno ten gruby dorobił się majątku w wojnę na handlu z gettem.

– Z krwi ma to, co ma – mówiono, i jedni zazdrościli, a drudzy pełni byli potępienia. Mówiło się więc potem – Zenon Morda pokarał cmentarną hienę.

Tak i tym razem z porucznikiem Gulalką śmiało sobie Zenon Morda poczynał.

Spotykali się raz w tygodniu i wędrowali do Dziadka. Ludzie już się z ich widokiem jako tako oswoili.

– Jak najlepsi zbytnicy przed wojną – powiedział Dziadek – też za nos wodzili policjantów. Choć to jeszcze gorsze niż policja – wzdrygnął się, bo i na niego przyszły już ciężkie czasy i nosił się z poważnym zamiarem zwinienia interesu.

Zamilkł i tylko jako stary fachowiec odprowadzał wzrokiem pełnym uznania każdą szklanicę, którą porucznik Gulałka podnosił ze stołu i przystawiał do ust.

Ale byli też tacy, co się nie mogli w żaden sposób do widoku tej przyjacielskiej pary przyzwyczaić. Patrzyli na porucznika Gulałkę z obawą. Wiercili się niespokojnie. I miny mieli przymilne albo nienawistne. To byli ci, którym przydarzyło się siedzieć w Urzędzie. Urząd znajdował się niedaleko od Dziadka. Na równoległej ulicy. Józefa Bema ulicy. Dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły. Jedna z lepszych u nas kamienic.

– Oj, nieźle podpiwniczony ten dom – mówili ci, co tam siedzieli i więcej nie chcieli mówić.

Jednak Zenon Morda nie bał się wcale.

– Ja tam do polityki się nie mieszam – perorował przy kieliszku. – Nawet wręcz przeciwnie, za demokracją robotniczą-chłopską obstaję.

– Reakcję, psia ją mać – na to mu porucznik Gulałka – należy wytłuc jak wszów!

Wrzeszczał prawie i ci, co tam w Urzędzie siedzieli, aż kulili się ze strachu.

– Sam z robotniczej rodziny się wywodzę – ciągnął Zenon Morda – stary mój przed wojną strajki zakładał, czyli z sanacją walczył.

– Znaczący pochodzeniowo i świadomościowo swój jesteś – przyznawał porucznik Gulałka.

– A mój wujek Wilanowski w okupację nieraz tych ważniejszych z PPR-u w chałupie u siebie przetrzymywał...

Wujek Zenona, kulawy Wilanowski, też bilardzista, słysząc to oświadczenie uśmiechał się wstydliwie i zaczynał:

– Z tym PPR-em rozmaicie bywało...

Ale ludzie nie dali mu dokończyć.

Niech Zenon Morda swobodnie żegluj. Więc żeglował, a porucznik mu zgodnie przytakiwał. Coraz częściej widywano ich razem. Buszowali po nocnych lokalach i wracali pełni wrażeń.

Opowiadał Zenon Morda, jak to porucznik spluwę wyciągał i do kelnera, który nie chciał im dać stolika, z tą spluwą startował. I Gulałką ten porucznik właśnie został, od gulać, pogulać – tak lubił mówić.

Spotykał się z Zenonem Mordą i sapać a wzdychać zaczynał, w wiadomym kierunku szyję jak łabędź wyciągał.

– Co ci? Źle się czujesz? – przyciskał Zenon Morda porucznika, żeby to ulubione słowo usłyszeć.

– Pogulać by warto – odpowiadał porucznik.

Śmiał się Zenon Morda swoim cienkim dyszkantem eunucha. Bardzo lubił to słowo.

I szli do Dziadka na kielicha. Taka para. Zenon Morda, nieduży, sprężysty jak Japończyk, z baniastą, wyłysiałą głową na cienkiej szyjce ozdobionej skaczącą grdyką. Dwóch groszy by się za niego nie dało, tylko te oczy niebieskie twarde, ciężkie jak z ołowiu.

A porucznik Gulałka dla mnie to był Grigorij Melechow. Tak kocio, lekko stąpał i skrzypiały wyglansowane oficerki. Twarz miał śniadą, drapieźną, garbaty, cienki nos, wąsik, ponure oczy i czarne, kędzierzawe włosy nad czołem.

Zwierzyłem się z tego książkowego skojarzenia Zenonowi Mordzie.

– Jaki tak Kozak doński!! – wykiwał ten mój *Cichy Don* bezlitośnie.

To prawda, niestety. Kiedy się odezwał porucznik Gulałka, czar jednak pryskał. Nie było żadnego romantyzmu w tym, co mówił.

– Robi się w Urzędzie... – zwierzył się. – No, bo się robi. – Albo tak. – Nasza robota teraz spokojniejsza, podziemie rozgromione, zapluty karzeł reakcji już ledwo dyszy... – uniół nogę w błyszczącym, oficerskim bucie i stąpnął z rozmachem – przydeptaliśmy sukinkota!!

Zenon Morda przytakiwał gorliwie. On tak zawsze potakiwał i swoje myślał. Ten jego wielki łeb z pulsującymi na skroniach żyłkami cały był naładowany kombinacją. Kombinacja goniła kombinację.

– Szachista – opowiadali o nim u Dziadka.

Wtedy już właśnie zaczął posługiwać się porucznikiem Gulałką jak szachowym hetmanem w swoich kombinacjach. Przy jego pomocy wymusił komorne od niewypłacalnego lokatora domu swojej babki.

– Pasożyt – tak powiedział porucznikowi – z wyzysku żyje. Właściwie wróg klasowy.

Ten lokator, Panicz Seweryn, kiedy tylko zobaczył Zenona Mordę w towarzystwie porucznika, to spociał się jak w łaźni i bez słowa sięgnął do szuflady po pieniądze.

– Ponieważ ciężko to obywatelowi przychodzi – powiedział Zenon Morda – poproszę od razu za następny rok.

Panicz Seweryn zawahał się chwilę. Porucznik Gulałka poruszył się niecierpliwie. Panicz Seweryn ponownie sięgnął do szuflady.

Miał również Zenon Morda adres pewnego handlarza, co złotem i dolarami obracał.

– Sprawa nadaje się do rozpracowania – zwierzył mi się przed akcją.

Porucznikowi zaś tylko powiedział:

– Na trzecią wojnę czeka i plan Marszala ma w głowie.

To wystarczyło.

– Gad! – zgrzytnął zębami porucznik.

Poszli pod ten adres. Porucznik Gulałka został na schodach. Zenon Morda z jego spluwą w dłoni zapukał do drzwi. Nawet niedługo tam siedział. Wyszedł rozpromieniony.

– Oskubałem jak gęś – oświadczył.

Pokazał mi zwitek zielonych, czyli dolarów. Pierwszy raz dolary wtedy zobaczyłem. Bardzo cenna waluta. Poinformował mnie o tym Zenon Morda. A strach handlarza zwanego Pi-jawką bawił go jeszcze długo.

Na te znajomą ciotki, panią Suchodolską, też ktoś doniósł, że złotem handluje. Donos uwiarygodnił w dodatku fakt, że jej mąż, przedwojenny oficer, z Anglii nie chciał wracać. Zamknęli ją w piwnicy czerwonego domu przy ulicy Józefa Bema. Przesiedziała tam kilka miesięcy. Pani Suchodolska w pewną niedzielę odwiedziła ciotkę. Siedziały na ławeczce w ogródku. Pani Suchodolska z zębami miała kłopoty. Taka choroba, od tego siedzenia w piwnicy powypadały. Nie mogła tego przeboleć.

– Białe, zdrowe, mąż mówił, w uśmiechu wyglądasz olśniewająco, tak mówił...

Urwała nagle. Zobaczyła porucznika Gulałkę. Akurat przechodził naszą ulicą.

– Widziałam go tam! – szepnęła.

– Owszem – przyznałem. – On pracuje w Urzędzie. Ale nie w śledczym, tylko w operacyjnym... – długo wyjaśniałem różnicę między tymi wydziałami.

Strach przyjaciółki ciotki, pani Suchodolskiej, nasunął mi pewien pomysł. Z ciotką od dawna miałem na pieńku. Właściwie nieustający stan wojny. Najlepszym przykładem będzie afera z tą Jadźką z Płochocina. Zawiózł mnie tam Zenon Morda. On chodził ze starszą siostrą – postanowił zapoznać mnie z tą młodszą, Jadźką właśnie.

– Też już musisz sobie – powiedział dwuznacznie. – Masz prawie 16 lat.

Zaczerwieniłem się. Ale miał przecież rację. Pojechałem więc z nim do Płochocina. Stół był zastawiony półmiskami z wędliną, akurat bili wieprza, na honorowym miejscu siedziała babka tych sióstr, wdowa po słynnym na całą okolice różdżkarzu. Zenon Morda postawił litra. Ta młodszą, Jadźką, spodobała mi się od razu, weszła i piersi stromo zaznaczyły się pod bluzką. Zaczęliśmy się spotykać. Miejscem spotkań był pomost nad torami i stamtąd ruszaliśmy na spacer do lasu w Gołąbkach. Nie bronila się wcale, kiedy objąłem ją i pocałowałem. Następnym razem dotarłem do tych stromych piersi pod bluzką. Były nie tylko strome, ale i

twarde. W czasie nieobecności rodziców i ciotki zaprosiłem ją do domu. Nic nie wyszło wtedy.

– Jestem chora – powiedziała Jadźka.

Za tydzień, późnym wieczorem, znów podeszliśmy pod dom, w którym mieszkałem. Czang Kai-Szek, gospodarz, nie spał jeszcze i spostrzegł z balkonu te moje tajemnicze manewry po ogródku, ale udał, że nie widzi. Za to później skopałem mu pół ogródka.

Kazałem Jadźce poczekać pod oknem swego pokoju, a sam frontowymi drzwiami wszedłem do mieszkania.

Mój pokój był ostatni w amfiladzie i przechodziłem przez stołowy, w którym sypiała ciotka. Posłyszałem jej równy głęboki oddech. Cicho uchyliłem drzwi i dotarłem do swojego pokoju. Drzwi zamknąłem na klucz. Otworzyłem okno i tą drogą wprowadziłem Jadźkę. Bawiła ją niezwykłość tego nocnego spotkania. Położyliśmy się do łóżka.

– Tylko cicho – zastrzegąłem – tam za drzwiami moja ciotka.

Ciotka obudziła się jednak.

– Tej łajdak sprowadził sobie dziwkę – posłyszałem jej przenikliwy głos. – Chodźcie, zobaczcie! – nawoływała rodziców. – Zobaczcie ten rozkład moralny!

Zerwali się rodzice. Zerwałem się i ja. Podbiegłem do drzwi i napałem ciężarem swego ciała.

– Ubieraj się! – poganiałem Jadźkę. – I wyskakuj oknem!

Do drzwi szturmowali już moi rodzice wraz z ciotką. Podważali drzwi trzonkiem szpadla. Jadźka ubrała się szybko i chichocząc przesadziła parapet.

W parę dni potem ciotka powiedziała jadownicę słodkim głosem:

– Nie powinienes mieć do mnie żalu. Ja tylko dla twojego dobra.

Skręcałem się z bezsilnej złości. Wredna baba. Ciotka Zosia.

Porucznik Gulałka parę razy dał mi do potrzymania swoją spluwę typu nagan. To było coś! Czas broni już wtedy skończył się bezpowrotnie. I mogłem tylko zazdrościć stryjecznemu bratu, który zaraz po wojnie zdawał maturę i opowiadał, jak jednemu z jego kolegów, wywołanemu do tablicy, wypadł pistolet zza pasa.

Głodziłem więc rękojeść i pomyślałem mściwie o ciotce. Jeszcze przypomniałem sobie, co powiedział Zenon Morda po tej zepsutej nocy z Jadźką.

On powiedział tak:

– Stara panna. Z zawiści zrobiła ci taki szpas. Sama potrzebuje chłopca.

To, co powiedział Zenon Morda, zapadło mi w pamięć. Spoglądałem ukradkiem na ciotkę. Wieczory spędzała samotnie. Wstawała od stołu, a te babskie wypukłości kłębiły się przy tym wstawaniu. Nawet właściciel domu, w którym mieszkaliśmy, białowąsy starzec o woskowej twarzy Czang Kai-Szekiem, choć sam powiadał: – Z ciotuni ziółko, ho, ho, dobre ziółko – to jednak kłaniał się jej zawsze szarmancko, prostował swą pokurczoną postać i odprowadzał ożywionym spojrzeniem. Ona podobała się mężczyznom.

Ośmielony już znacznie wobec porucznika Gulałki powiedziałem mu tak:

– Moja ciotka aż piszczy za chłopem, tylko sama nie ma śmiałości sobie poderwać.

Zenon Morda poparł mnie gorąco i dodał:

– Cały ten warsztat czeka na majstra.

Wzięliśmy flaszkę, poszliśmy w cień drzewa i podjąłem wątek o ciotce. O jej samotnych wieczorach właśnie. O tych kłębach, co sukienkę rozsadzają, kiedy od stołu wstaje lub nad miednicą się pochyla.

– Pewny sztos – podsumowałem.

Wstał porucznik Gulałka, obciągnął pas z kaburą, zaskrzypiały oficerki.

Czekałem w napięciu na jego odpowiedź.

– Dlaczego nie... – rzekł. – Spróbuję!

– Najlepiej wyciągnij spluwę i postrasż ją trochę – wtrącił Zenon Morda i mrugnął do mnie.

Czas tej wizyty wybrałem starannie. Było to niedzielne popołudnie. Rodzice wyjechali do wujka Janka, który mieszkał w Łowiczu. Ciotka robiła w kuchni przepierkę. Przygotowałem z gąsiora wina z róży i zaprosiłem porucznika Gulałkę. Zasiadliśmy przy stole w tym pokoju, gdzie sypiała ciotka.

Porucznik Gulałka ciekawie rozejrzał się po mieszkaniu.

– Ładnie mieszkanie – uznał. – Jak burżuje.

Spodobał mu się obrazek malowany na tkaninie, przedstawiający dworaka w peruce, który podawał rękę damie wysiadającej z karocy.

– Ale cudaki! – roześmiał się.

Czuwałem nad szklanką porucznika i dolewałem mu już trzeci raz.

I wreszcie skrzypnęły drzwi stołowego pokoju. Pojawienie się ciotki wypadło bardzo korzystnie, gdyż była w niedopiętym szlafroku i odsłaniały się jej krągłe kolana i pełne uda.

Porucznik Gulałka od razu wzrok w tym miejscu zatrzymał. Ciotka szybko zapięła guziki u dołu szlafrocka. Porucznik Gulałka wstał od stołu i po wojskowemu trzasnął obcasami.

– Porucznik z Urzędu Bezpieczeństwa – przedstawiłem dobitnie, żeby od początku zastraszyć ciotkę.

Podszedł do niej i pocałował ją z głośnym cmoknięciem w dłoń. Ciotka przyjrzała mu się uważnie.

Prezentował się okazale, wysoki, wyprostowany, w błyszczących oficerkach, z dużą kaburą u pasa, i jeszcze ta jego wąska, drapieżna twarz z wąsikiem.

Wyszczerzył do ciotki w uśmiechu zęby.

– Nawet nie wiedziałem... – powiedział – że mój młodszy kolega ma taką siostrę.

– Ciotkę – sprostowała.

– Taką młodą? – zdziwił się, nie wiadomo, czy szczerze, czy tylko tak udawał.

Ciotka wzruszyła ramionami. Starannie wygładziła serwetę na stole. Dostrzegła na niej świeżą plamę. Spojrzała na mnie z wyrzutem.

Porucznik Gulałka nalał z gąsiora wina do trzeciej szklanki.

– Pani nie odmówi – znów trzasnął obcasami.

Ciotka ociągając się, ujęła szklankę w dłoń. Pociągnęła mały łyżeczek.

– Za miłe poznanie – powiedział porucznik.

– Pan w jakiej sprawie? – zapytała ciotka.

Wpatrzył się w nią zachłannie.

– Z wizytą – odparł.

A po chwili: – Takie kobiety nie powinny nudzić się w samotności – dorzucił, przeciągając pieszczotliwie słowa.

Coś jak cień uśmiechu pojawiło się na twarzy ciotki. Ale zaraz jej twarz znów stała się nieprzenikniona.

– Mieszkam niedaleczko... – zaczął porucznik Gulałka – a jako kawaler ręce mam nie związane...

– Może napije się pan kawy? – przerwała mu ciotka.

Nie czekając na jego odpowiedź, podeszła do kredensu, żeby wyjąć filiżanki.

Porucznik Gulałka popatrzył z uznaniem na jej rosłe, kształtne ciało i zdążył szepnąć mi do ucha! – Od tyłu tak ją przestrzelić!

Był już podchmielony i coraz nachalniej obmacywał ją oczyma. Jego oczy były coraz bardziej palące. Słońce akurat oświetliło smugą stół. Zapach skóry, wina, potu... Buchało to na mnie. I popatrzawszy za porucznikiem na ciotkę, przygryzłem wargi. Szybko opuściłem powieki. A kiedy ciotka wróciła do stołu, porucznik Gulałka wpatrzył się w ten rowek między

piersiami w wycięciu szlafroka. I tak patrząc, równocześnie rękę wyciągnął. Powoli, ostrożnie zbliżał ją do ciotki. Dotknął jej pleców. Odtrąciła jego dłoń. Wcale się tym nie spieszył.

– Taka krasziwa – zacmokał.

Ciotka zmierzyła go spojrzeniem pełnym chłodnej pogardy.

– Nie udawaj! – roześmiał się.

I ponowił manewr dłonią. Tym razem capnął ja za zadek.

– Pogulamy – szepnął, nachylając ku niej swą poczerwieniałą twarz.

– Klacz, istna klacz – zabelkotał i tak jak ryba na piachu poruszył ustami.

A druga jego ręka powędrowała do piersi ciotki. Nie zdążyła jednak zatrzymać się tam dłużej. Ciotka uchyliła się i z rozmachem trzepnęła go w twarz. Kłasnęcie było jak biczem i porucznikowi odskoczyła głowa

– Wynosić się stąd! Natychmiast! – głos ciotki wcale nie był wzburzony, tylko ostry, rozkazujący.

Oczekiwałem, że dopiero teraz porucznik Gulałka zabierze się do niej naprawdę. Wyciągnie swój nagan, zagrozi i zmusi do wszystkiego. Tak bardzo tego chciałem! Ale nic podobnego nie nastąpiło. Porucznik Gulałka znieruchomiał przy stole ze zwieszoną głową. Potarł dłonią uderzony policzek. Podniósł głowę i spojrzał na ciotkę. Wyglądał jak zbity pies. Dalej już nie czekałem. Wybiegłem z pokoju. Ukryłem się w krzakach bzu za węglem domu.

Stamtąd posłyszałem kroki na żwirze i zgrzyt furki. Odtąd unikałem porucznika Gulałki. W domu z jego powodu rodzice wyzwali mnie od zwyrodnialców. Ojciec również czynił wyrzuty ciotce, mówiąc:

– Zbyt impulsywnie postąpiłaś, mogą być nieprzyjemności, przecież oni z niczym się nie liczą.

Ciotka śmiała się wzgardliwie.

Niedługo potem zobaczyłem porucznika Gulałkę na przystanku EKD. Był z bukietem róż. Przechadzał się nerwowo. Od strony Warszawy nadjechała kolejka. Porucznik Gulałka spoglądał na wysiadających. Wśród nich była moja ciotka. Podbiegł do niej. Spojrzała na niego krótko i wcale się nie zatrzymała. Szedł koło niej, śmiesznie drobiąc kroki i coś mówił. Wyciągnął zza pleców bukiet róż. Wtedy dopiero zatrzymała się i gwałtownie opędziła się ręką. Cofnął się spłoszony. Poszła sobie. Pozostał z tym bukietem róż w dłoni. Minę miał bezradną i wściekłą zarazem. Z rozmachem rzucił bukiet na ziemię. Machinalnym ruchem poprawił kaburę. Schowałem się za drzewo.

Nie ma mocnych na twoją ciotkę – tak powiedział po wielu latach Zenon Morda. Obaj popatrzyliśmy na ciotkę. Siedziała w oknie i robiła na drutach. Siwa już była i pomarszczona na twarzy. Bujności ciała też ani śladu. Ale zaciśnięte usta nie straciły nic ze swego nieprzejednanego uporu.

– Tak spoić ją gorzałką i wyruchać wreszcie! – dodał Zenon Morda i oczy mu się wilczo zaświeciły.

1975

COŚ DLA PARTII

Zdarzyło się to w tych czasach, kiedy jako piętnastoletni chłopak uwierzyłem w ideę, pokochałem ideę i uznałem, że należy jej służyć ze wszystkich sił. Czytałem życiorys Dzierżyńskiego i wzruszenie dławiło mi gardło. Chowałem się z książką i nocną lampką pod kołdrę i czytałem, jak powieść. Na pamięć już umialem co mocniejsze fragmenty życiorysu. I po kilku dniach rankiem wybrałem się do naszego Urzędu. W biurze przepustek powiedziałem, że chcę widzieć się z naczelnikiem, majorem Śnieżko.

Wartownik obejrzał mnie dokładnie. Zadzwoił.

– Towarzysz Śnieżko pyta, co wy za jeden?...

Kpiąco popatrzył na moją ceratową teczkę, kraciaste pumpy i sterczące włosy, które w żaden sposób nie chciały układać się na przedziałek.

– Uczeń ósmej klasy szkoły jedenastoletniej numer cztery – wyrecytowałem, czerwieniąc się ze wstydu. Powtórzył w słuchawkę.

– Idźcie – pokazał drogę do gabinetu szefa Urzędu. Towarzysz naczelnik był chudy, łysawy, w brązowym garniturze.

– Co was sprowadza do nas?

Miał białą bliznę wzdłuż czoła.

„Pewnie – pomyślałem – z walk o rewolucję...”

– No... – powtórzył.

Zacinając się i wczepiając spotniałe palce w blat biurka opowiedziałem o swojej teoretycznej drodze do Idei, o życiorysie bohatera, o wrogości i sprzeciwie rodziców.

– Ale teoria... – wyszeptalem – ... to jeszcze nic. ... Chcę zdać egzamin... Coś dla partii... Coś poważnego... Niebezpiecznego... Robić... – urwałem zawstydzony i wyczerpany.

Otworzył metalowe pudełko z papierosami. Poczęstował. Zapaliliśmy. Puszczal misterne kółka z dymu. Nagle kocim ruchem wysunął szufladę biurka. Wyciągnął stamtąd stosy papierów, teczek... Przebierał w tym ze zmarszczonym czołem. Potem włożył te pliki z powrotem do szuflady. Na biurku pozostał jedynie cienki zeszyt w szarych okładkach. Towarzysz naczelnik otworzył, przekartkował, zatrzymał palce na jednej ze stron. Zamknął i pogładził okładki.

– W waszej szkole są starzy profesorowie... Rozumiecie, dawnego... typu... Przeżytki, a więc wrogowie... Na przykład polonista, ocierał się o piłsudczyznę... Albo historyk... Jego syn był w reakcyjnym podziemiu... Należy ich... rozumiecie... – podsunął mi popielniczkę... – kontrolować... zwracać uwagę... W prywatne rozmowy z nimi... Sondować...

Wpatrywałem się z gorączkowym napięciem w tę białą bliznę z czasów walk o rewolucję, na jego czole. Potakiwałem skwapliwie.

– I gdy już coś będziecie wiedzieli...

Na małej karteczce napisał mi numer telefonu.

1960

AUTORYTET

To był wzór dla mnie. Stary partyjniak. Sekretarz naszego komitetu zakładowego. Piękny staż. Jeszcze u bolszewików. – ... Tam była twarda szkoła... – czasem wspominał – ... Jak u Londona... Bardzo lubił książki Londona... I twarz tak otwarta; niebieskie, twarde jak szkło oczy. Ogromny autorytet na naszym zakładzie.

Byłem wtedy szczeniak zakochany w partii. Często myślałem o towarzyszu Kindermanie. Tak jak on, marzyłem, pracować dla sprawy, z takim oddaniem polityczną robotę ustawiać... I marząc tak, słyszałem również głos śpiewny, lekko ochrypliwy, i to jego powiedzenie ulubione – ... Ot tak stoit sprawa... Jeszcze z czasów terminu u bolszewików to powiedzenie. Jaką dumą przejmował fakt, że mnie właśnie prosił towarzysz Kinderman, żeby mu referat na 1 Maja poprawił.

– ... Wiecie... styl i tak dalej... – powiedział wtedy. – ... Nie było czasu na szkoły, towarzyszu miły...

– ...Cóż to za komunista... – szeptałem żarliwie.

W domu obawiali się mnie. Gdy przechodziłem przez środkowy pokój, rodzice ścisiali głos. Pewnie wygadywali coś politycznego.

Dziś wybrałem się do pracy w nowym frenczu. Kupiłem ten frencz od szwagra za psie pieniądze. Idealna do mojej politycznej roboty kurtka. Zielona, obcisła, mundurowe sukno. Jak zwykle, na parę minut przed rozpoczęciem pracy stawiałem się w Komitecie Zakładowym u towarzysza Kindermana.

– Czołem – powiedział, po chwili podniósł głowę i od razu zatrzymał spojrzenie na moim frenczu. Bardzo uważne, nieruchome spojrzenie. Zmieszałem się. I zapanowało długie milczenie.

Już wyje fabryczna syrena.

– Towarzyszu... – chrypliwy, śpiewny głos naszego sekretarza poderwał mnie na baczność, jakieś surowe tony w tym głosie. – ... No, jak tak można?... My z nimi walczymy, a wy ich reklamujecie... Cóż to za guziki?

Wtedy zrozumiałem. Przecież frencz szwagier przywiózł z obozu z Niemiec. To amerykański frencz. Guziki na nim z napisem US Army.

– Roztargnieni jesteście... – westchnął towarzysz Kinderman... – To tak wyraźne przecież...

Opuściłem głowę. Zaciskałem palce na śliskim metalu.

– No, idźcie... – polecił już łagodnie towarzysz Kinderman... – Usuńcie to jakoś...

Wyszedłem z gabinetu sekretarza i w korytarzu oberwałem te wszystkie guziki!

1960

ZEBRANIE

Dziś zebranie Komisji Współzawodnictwa Młodzieżowego na naszym zakładzie. Byłem zdenerwowany. Mam przewodniczyć na tym zebraniu. Tak zdecydował towarzysz Kinderman. A na tym zebraniu mają być same szczy: naczelny zjednoczenia, dyrektor naszego zakładu, główny konstruktor, kadrowiec, delegat z ministerstwa, inni jeszcze. To tremuje i peszy. Za godzinę zebranie. Porządkuję notatki do referatu, powtarzam sobie wstęp polityczny. Omówienie sytuacji międzynarodowej, nasze konkretne zadania. Telefon. Dzwoni towarzysz Kinderman i prosi, żebym wpadł na chwilę do komitetu. Jakiś żart jeszcze powiedział. I faktem jest, że ten jego kresowy, lekko śpiewny głos podziałał na mnie kojąco. A zaraz twarz szeroka, budząca zaufanie zupełnie rozprężyła moje napięte z emocji nerwy.

– Więc zebranko, towarzyszu miły... – Coś zapisywał na marginesie kalendarza w czerwonej oprawie. Uniósł głowę. – Więc, towarzyszu miły, musicie się spóźnić na to zebranie. ... Ot, tak z pół godziny...

– Zagapiłem się na niego głupawo.

– Weźmiecie rower i pojedziecie sobie po terenie. ...W ogóle, co chcecie...

– Jak to? – odezwałem się wreszcie.

Towarzysz Kinderman uśmiechnął się łagodnie. Szybko jednak twarz mu stężała, a oczy wpatrzyły się we mnie ostro i nieustępliwie.

– Ot, tak stoit sprawa... Należy nieustannie podnosić autorytet pracownika aparatu politycznego! Jak najwyżej! Bo niektórym się wydaje, że aparat do dodatek do wszystkiego. A tak nie jest! I dlatego wy w ten teren pojedziecie. A ja powiem... Nasz młody towarzysz przeprasza towarzyszy dyrektorów, ale nagła praca w terenie... – przygryzł z namysłem paznokcie – ...Ot, choćby... brygada młodzieżowa w trakcji samochodowej opracowuje skrótowy przegląd maszyn i nasz towarzysz młody... Rozumiecie? – poklepał mnie po ramieniu. – Nie martwcie się. ... Nasza praca niełatwa... Ale dacie sobie radę... I jak wrócicie z terenu, to bardzo zebranych towarzyszy nie przepaszajcie.

Nasz zakład rozrzucony jest na dużej przestrzeni. Jeździłem rowerem wzdłuż muru od strony osiedla. Co dwa okrążenia spoglądałem na zegarek. Wreszcie upłynęło trzydzieści minut.

Pedałując co sił podjechałem pod budynek komitetu. Kilka czarnych, lśniących aut na placu przed komitetem. Dyrektorzy. Opanowując dygot w łydkach wszedłem do sali konferencyjnej. Sino od dymu. Wszyscy już byli. Dyrektor naczelny to ten wielki, zwalisty mężczyzna, teraz nakręca zegarek. Główny konstruktor przygląda mi się z zainteresowaniem. Głośno przełknąłem ślinę. I wtedy w kącie sali napotkałem niebieskie, przenikliwe oczy towarzysza Kindermana. Otworzyłem teczkę z referatem i powiedziałem donośnie – Towarzysze... Nie mogłem punktualnie, bo ważna akcja w maszynowni...

1960

POD ZIEMIĄ

Kopalnia nazywała się „Marcel”, dawniej „Emma”. 800 metrów, gazowa. Wybrałem się tam po pierwszym roku studiów. Zataiłem ten fakt i jako ochotnik zgłosiłem się do biura werbunkowego. W całym mieście zachęcały do tego afisze przedstawiające młodego człowieka w hełmie, ze świdrem w mocarnych dłoniach, wgryzającym się w czarną ścianę węgla.

Tu muszę sobie pozwolić na dygresję dotyczącą czasów dzisiejszych. Teraz młodzi ludzie, pragnący przygód i zarobków, często wybierają się za granicę. Dla przykładu letnią porą do Francji, żeby popracować w winnicach, czy do Anglii, gdzie najmują się jako czyściciele ulic, pomywacze w garkuchniach. Mało tu zresztą motywów przygody, więcej rzeczowego uznania dla waluty wymiennej.

W czasach mojej młodości wyprawy za granicę były poza sferą możliwości. Zdarzały się jedynie odosobnione przypadki.

Jurek S. chciał dostać się kajakiem z zachodniego wybrzeża na Bornholm. Wyprawa nie udała się i zapakowano go na dwa lata do więzienia. Zwiedził zakłady karne w Szczecinie i Stargardzie, kamieniołomy w Strzelcach Opolskich, gdzie pracował jako skalnik. To tyle na temat różnic.

Powodowany chęcią przygód zatrudniłem się jako górnik. Zamieszkałem w hotelu robotniczym w Radlinie i po odbyciu skróconego przysposobienia zawodowego i zapoznaniu się z przepisami bhp począłem zjeżdżać w dół. Miałem hełm, lampkę i wyglądałem jak górnik z plakatu. Zostałem skierowany do prac zabezpieczających puste miejsca po węglowym urobku. Stemplowaliśmy i wykładaliśmy przodki palami i deskami. Kapy i fele, nazywał się ten budulec w górniczej gwarze.

Zjazd szybem w głąb ziemi, długa wędrówka coraz ciemniejszymi, niskimi chodnikami i sztolniami, gdzie tajemniczo migotały nasze lampki, gazowy charakter kopalni, głucha cisza przerywana jedynie dalekim warkotem świdrów – wszystko to przypominało wędrówkę po labiryncie Hadesu.

Mimo woli mówiliśmy ściszonymi głosami, niektórzy zegnali się znakiem krzyża; ktoś nagle zaczął kląć i powtarzać: – Kurwa, w co ja się wdałem!

Różne wiatry przygnały moich towarzyszy pracy do kopalni. Był to czas nieustającej wędrówki ludności, spowodowanej zmianami obszaru, stroju, rozwojem przemysłu, lękiem przed kolektywizacją i innymi pomniejszych względami.

Dla rdzennych Ślązaków, tych Wilusiów, Helmutów i Manfredów, był nawet jeden Adolf, stanowiliśmy niepojętą zarazę, nazywali nas werbusami i trzymali się z daleka.

W pokoju hotelu robotniczego zakwaterowano nas sześciu. Wypiliśmy zapoznawczą wódkę i przy kieliszku każdy opowiedział pokrótce o sobie. Trzymaliśmy się razem. Wolski robotnicarz, dawny działacz PPS, ofiara Historii, nie chciał połączyć się z komunistami w jedną partię, jak mawiał, wiarołomna żona przebrała miarę jego gorczy i ruszył w Polskę.

Kieszonkowiec, który po kolejnej odsiadce postanowił zaniechać przestępczego procederu i został górnikiem. Wiejski osiłek z kieleckiego, syn bogatego gospodarza zrujnowanego przez władzę jako kułak.

Genek Bednarski, wesóły lwowiak, cwaniak i włóczęga, pięknie śpiewał łobuzerskie piosenki ze swego miasta, nazywaliśmy go Ta-Joj. Ten odważny obieżyświat o twarzy pozna-

czoney bliznami po krwawych bójkach, bał się jak piekła zjazdu w podziemną czelusć kopalni i na dole tracił wszelki rezon; stawał się bezbronną ofiarą naszych kpin.

Najbardziej jednak sugestywną dla mnie postacią był Bolo. Podchorąży z kampanii wrześniowej, inteligent, akowiec, alkoholik. Zaraz po wojnie ten dzielny żołnierz konspiracji w randze podporucznika został schwytany i przeszedł do współpracy z NKWD, później bezpieką. Zasłużył się gorliwym tropieniem i wydawaniem swych towarzyszy walk. Potem zapragnął zrezygnować z tego haniebnego procederu. Uciekł, zmienił nazwisko, zaczął od nowa urządzać sobie życie. Wytropili go. Przesiedział długi czas w więzieniu i po wyjściu został wreszcie pozostawiony swemu losowi. Ale był to już ludzki wrak. Rozbitek, ofiara wyrzucona za burzę, z nigdy nie zagojonym dramatem sumienia. Tułał się po Polsce, mając się różnych zajęć. Był budowniczym hut, drwalem, parobkiem w PGR-ze, dokerem, ostatnio górnikiem. O swoim pieskim życiu naznaczonym zdradą opowiadał z masochistyczną szczerością. Budził współczucie, osłupienie, wstręt. Symbolizował podziemie ludzkiego bytowania. Cuchnęło Dostojewskim.

– Przestań! – wołał ze swego łóżka Genek Bednarski. Wolski robociarz spluwał z obrzydzeniem.

Niestety eks-kieszonkowiec, cynik pozbawiony wszelkiej wiary w czystość ludzkich intencji, nie pozostawał obojętny.

– Taki pod celą ze złodziejami nie miałby życia! – powiedział raz głęboko wzburzony.

– Właśnie – podchwycił Bolo. – Powinienem skończyć ze sobą.

Tylko wiejski osiłek ziewał rozdzierająco; czasem odwrócony do nas plecami zapisywał coś w zeszytach, pewno przyszłe zarobki, nastawił się na duże pieniądze z górniczego trudu.

A Bolo, pociągając z butelki (zazwyczaj pił denaturat, cuchnęło od niego wstrętne), uparczywie ciągnął swój monolog o wojnie, konspiracji, zdradzie. Coraz bardziej bełkotliwym głosem, łkając i siąpiąc nosem. W tej opowieści powtarzały się imiona i pseudonimy jego kolegów i przyjaciół z oddziału AK na terenie białostockiego, oficer NKWD nazwiskiem Stiepaszkin, dramatyczne noce w areszcie.

– Zgodziłem się! – zaskowyczał Bolo. – Wyciągnęli bimber, piłem z nimi!

To były nasze wieczory po drugiej szychcie. Seans kończył przeważnie lwowiak, rzucając w Bola butem. Tamten jeszcze chwilę bełkotał, zasypiał pijackim ciężkim snem.

Budził się bardzo wcześnie i zwykle otwierając oczy napotykałem jego wzrok skierowany w moją stronę. Opuchła twarz porośnięta siwą szczecina, załzawione, czerwone oczy. Patrzył tak na mnie i wdychał. Z nim byłem najbliżej i często rankami opowiadał ściszone głosem o latach przedwojennych, studiach przerwanych wojną; był człowiekiem wrażliwym, dużo czytał, pamięć miał jeszcze nie zdewastowaną. Wiele się od niego dowiedziałem. Jego skala doświadczeń, szczególnie ten skowyt sponiewieranej duszy – budziła we mnie gwałtowny niepokój, zadawałem sobie szereg pytań bez odpowiedzi. Źle się działo w państwie duńskim. Nie byłem władzą, policjantem ani zbuntowanym Spartakusem. Byłem młodym człowiekiem urodzonym przed wojną. Moje dzieciństwo przypadło na lata okupacji, młodość w czasie powojennym. Pamięć jedynie rejestrowała. Znacznie później zostałem pisarzem. Wakacje górnicze zakończyłem po trzech miesiącach. Wracałem zadowolony z przygody. Nawet wybuch gazu nie ominął mnie pod ziemią. Osypało się wyrobisko, kapy i fele, runęła pochylnia. Miałem kontuzję: złamany palec wskazujący i już w Warszawie otrzymałem przekazem telegraficznym pieniądze z tytułu chorobowego.

1987

POMYŁKA

Nie wiem, kto rozpuścił u nas na roku tę plotkę, że jestem z Urzędu. Może dlatego, że nosiłem zieloną, wojskową koszulę, a ci z Urzędu zawsze mają przy cywilnym stroju coś mundurowego. Nie wiem. W każdym bądź razie wszyscy tak uważali. Chociażby taka Elżbieta, starościna naszej grupy. Byłem z nią na kawie. Gawędziliśmy o uczelnianych sprawach. Elżbieta martwiła się o bumelantów. Wyciągnęła notes. Obliczyła opuszczone godziny. Żle z Bronkiem Kowalczykiem. On ma najwięcej zaznaczonych nieobecności.

– Jeszcze przy jego pochodzeniu społecznym – Elżbieta bardzo przejmuje się cudzymi sprawami.

Drugi na liście byłem właśnie ja. Bez słowa opuściła moją pozycję i zatrzymała się przy trzecim.

– Więc ja drugi... – powiedziałem – kiepsko...

– Kiepsko? – powtórzyła zdziwiona. – No wiesz! Ty i tak przecież będziesz w porządku... – przypatrzyła mi się z pewnym zmieszaniem.

I tak wszyscy uważali. Nawet konfident z naszego roku, Mrozek, autentyczny zresztą ubiak, witał mnie z przyjaźnią, przymilał się i natarczywie proponował wspólne przygotowywanie się do egzaminów w sesji zimowej. W tym czasie zupełnie już straciłem chęć do studiów. Nudne to wszystko było i jałowe. Jeszcze tylko ze względu na ojca, który marzył, bym został magistrem, pojawiałem się na wykładach i ćwiczeniach. Ze złości coraz częściej piłem. Z tego picia wynikła przykra chryja. Wypiłem wtedy ćwiartkę w bramie, poprawiłem portierem w barze „Pod Kuchcikiem” i poszedłem na uniwersytet. Przed Pałacem Kazimierzowskim natknąłem się na tego kapusia Mrozka. Uśmiechnął się do mnie przyjacielsko. Ogarnęła mnie złość. Chwyciłem go za krawat, dałem pary razy po gębie i zrzuciłem mu czapkę. Piszczął jak szczur. Poprawiłem kopniakiem. Przybiegli dwaj z Komitetu Wydziałowego...

Następnego dnia od razu wyczułem tę specjalną, napiętą atmosferę. Charakterystyczne spojrzenia. Nikt nie podchodził do mnie. Po drugim wykładzie wezwano mnie do towarzysza Biesiady, sekretarza Komitetu Wydziałowego. Znany z surowości partyjniak, były kościuszkowiec, w walce z reakcyjnym podziemiem stracił rękę. Nieprzyjemny typ. Długo nie unosił głowy znad biurka, coś czytał, szeleściły papiery. Denerwowałem się coraz bardziej. Nagle wstał. Masywny, na piersi zadzwoniły mu medale, pusty rękaw w kieszeni.

– Nie wiem, dlaczego... – powiedział – ... wy uważacie, że wszystko wam wolno. Nie wiem! – uderzył dłonią w biurko.

– ... Wy?... – zdziwiłem się. – No jasne... My z Urzędu... – Uśmiechnąłem się głupawo.

– Może w tej hecy o coś wam chodziło. Nie znam waszych spraw. Czy on?... – zająknął się. – No, znaczy Mrozek, coś nie w porządku... Podejrzany?

porterami w barze ... kiepsko...

– Na razie... – odpowiedziałem z namysłem – trudno cośkolwiek sprecyzować...

– No, idźcie już... – niecierpliwie machnął ręką, zadzwoniły medale. – ... Kłopot tylko.

Za drzwiami od razu rozprężyłem się i odetchnąłem głęboko.

PRZEMOC

Tajna policja była wtedy wszechwładna. Właściwie każdy o tym wiedział. Ale żeby aż tak dalece – nie przypuszczałem. Zawsze zostawialiśmy sobie jakiś margines, co prawda coraz mniejszy, gdzie nikt z zewnątrz nie dotrze, dotrzeć nie może i była to krzepiąca otucha, że w tym chociaż jesteśmy wyłącznie panami samych siebie.

Akurat Ryszard wrócił wtedy z wakacji. Były to jego ostatnie studenckie wakacje, które spędził włócząc się po północnych województwach jako likwidator szkód z ramienia PZU.

– Post – nazwał ten cały wakacyjny czas Ryszard, bardzo spragniony miejskich rozrywek.

Wciąż tylko powtarzał – ... gdzieś do lokaliku, chociaż muzyki posłuchać, marzę o tym...

I namawiał na jakąś knajpianą eskapadę. Wahalem się, gdyż do końca miesiąca brakowało jeszcze tygodnia, a moje skromne stypendium już na wykończeniu. Ale Ryszard znacząco poklepał portfel z czarnej, tłoczonych skóry. Musiał nieźle zarobić na tym doliczaniu strat wyrażonych żywołami na chłopskich polach.

– Gradobicie – śmiał się Ryszard – solidny żywoł... mórg więcej, mórg mniej, ... a gospodarzowi zależy... jak jeszcze zależy!

Opowiadał o hucznych wieczernych w chałupach, o kurach zabijanych na przyjęcie pana inspektora, o mocnym samogonie...

Wybraliśmy się do nocnego lokalu.

Obskurna to była buda, początkowo przeznaczony na stołówkę barak, ozdobiony szpetnymi malowidłami gór o zachodzie słońca i floty korsarskiej na oceanie, ale z tą zaletą, że najtańszy lokal w mieście.

Zachodziły tutaj młodzieżowe parki zakochanych, profesjonalne dziewczyny, rogówki – jak je nazywała moja matka, pijacy, tramwajarze, szoferzy na kawę dla wytchnienia i ci, którzy spóźnili się na podmiejskie elektryczniaki. Do baru, gdzie piło się na stojąco, można było zejść nawet w palcie, pozwalali. Ryszard, tancerz zwołany, cieszył się jak dziecko, już w szatni zaczął podrygiwać w takt muzyki dochodzącej z sali. Znaleźliśmy wolny stolik pod oknem, wiało tu trochę, szyba wybita, ale od razu zamówiliśmy po setce na rozgrzewkę. Kelner obejrzał nas badawczo, skrzywił się i lekko wzruszył ramionami.

– Za małe zamówienie – wyjaśniłem Ryszardowi – ... bierze nas za pętałów i prędko nie pada.

– Co z tego – Ryszard był już w lokalowej euforii – i tak dobrze...

Rozglądałem się po sali. Dawno tu nie byłem.

Parę stolików dalej siedziała Ewka. Od razu ją poznałem. To była dawna moja koleżanka ze studiów, bardzo ładna, od roku już nie chodziła na uczelnię i często bywała w rozmaitych lokalach. Siedziała ze starym facetem. Coś jej tłumaczył. Kręciła przecząco głową i wybuchala raz po raz śmiechem. Zawsze taka wesola, niefrasobliwa, kpiąca nielitościwie z męskich zabiegów uwodzicielskich. Lubiła także zabawiać się i wzmagać pożądanie starających się o jej względy wielbicieli, nigdy też nie wiadomo było, czy skłoni się na czynione jej propozycje, czy tylko wyszydzi.

Podszedłem niepewnie do niej. Nie wiedziałem, jakim kaprysem przyjmie mnie dzisiaj. Przywitała mnie radośnie.

Facet popatrzył na mnie spode łba, długo, nachalnie i zaraz potem, zapaliwszy papierosa, skinął na zezowatego kelnera.

– Co? – pyta zezowaty.

– Można wycofać zamówienie – powiedział ten facet czterdziestoletni, lekko zalany, wyglądał na takiego buchaltera, mieszkańca podmiejskiej trasy, który spóźnił się na ostatni elektryczniak.

Ewka chętnie zgodziła się usiąść z nami.

– Przyczepił się... – mówiła z tą swoją charakterystyczną pogardą i rozbawieniem o tym – ... koniecznie chciał...

Bardzo ładna ta Ewka, jasnowłosa, zgrabna, ma takie wielkie błękitne oczy. Ryszardowi wyraźnie się spodobała. Aż się trochę zaniepokoiłem. Zacznie czarować tymi swoimi urodzielskimi sposobami i gierkami... Może zainteresować Ewkę.

– Ryszard... – zaszeptalem, gdy Ewka zaczęła poprawiać sobie szminką usta. – ... ona jest ze mną...

Ryszard spojrział na mnie, potem na nią. Z pewnym ociąganiem pokiwał głową, minę miał nieco zawiedzioną. A mnie ta Ewka podobała się wyjątkowo. Poprosiłem kelnera o coś na gorąco. W ogóle i kelner pod wpływem Ewki też stał się grzeczniejszy, uprzejmy.

Jedliśmy pieczeń wołową z tłuczonymi kartoflami. Ewka leciutko stuknęła obcasikami w takt muzyki. Ryszard dołączył się do tego wybijania rytmu z widelcem. I nucił też lekko melodię.

Nieco posmutniałem. Marnym byłem specjalistą od tańca i dałbym sobie radę tylko ze staroświeckimi walcami i tangiem.

Ewka zauważyła moje zaniepokojenie. Nagle szybkim ruchem ręki pogładziła mnie po policzku.

– Nie bój się – popatrzyła na mnie poważnie, bez tego zwykłego uśmiechu i rozbawienia – ... z nikim nie zatańczę...

Ryszard skłonił głowę w naszą stronę i z błędnym staroświeckim kpiarzem zaczął śpiewać *Gdy wieczorne biją dzwony...*

W knajpie robił się coraz większy tłok. Przy barze dziewczyny z Chmielnej, te sine, zapijane maskary lżyły plugawym stekiem przekleństw jakiegoś mężczyznę w kolejarskim płaszczu.

– Szybko mija uroda – powiedziała smętnie Ewka patrząca na te zniszczone, brzydkie kobiety, niestare jeszcze, a już ostatecznie oszpecone występny życiem.

Nagle jedna z nich, gruba, chwyciła kufel i rąbnęła tego w kolejarskim płaszczu w głowę. On zatoczył się pod ścianę, pociekła krew.

Wtedy gruba rozplakała się i pocałowała go w usta.

– Mocne życie – roześmiał się Ryszard.

W drzwiach pokazał się milicjant, służbowo z paskiem pod brodą. Bar opustoszał.

Gruba ukryła pokrwawionego mężczyznę za filarem. Milicjant stanął przy barze, pił piwo, rozglądał się znudzony, nieuważnym wzrokiem.

Ci trzej, którzy weszli zaraz za nim, przystanęli przy podwyższeniu dla orkiestry.

Jeden z wąsikiem, drugi w zielonej wojskowej koszuli, trzeciego nie dostrzegłem, był najniższy i zasłaniały go tańczące pary.

Obserwował tłumek na parkiecie. Teraz zaczęli lustrować siedzących przy stolikach. Ten najniższy wszedł na podwyższenie i stamtąd patrzył.

Perkusista zaszeptał coś do tego w wojskowej koszuli pokazując na młode ulicznice, skupione stadkiem przy jednym ze stolików, ale ten w wojskowej koszuli poruszył przecząco głową.

Drugi z nich, z cieniutkim kokietyrjnym wąsikiem – Wąsik – nazwałem go sobie od razu, wyciągnął rękę i ordynarnym, niedbałym gestem pokazał na nas. Wszyscy trzej spojrzeli na

nas. Właściwie tylko na Ewkę. Wąsik zaczesał starannie włosy. Orkiestra zagrała coś do tańca.

Wąsik podszedł do naszego stolika, mrugnął do Ewki i poprosił ją do tańca.

– Nie tańczę – odmówiła Ewka.

– Czemu? – oczy Wąsika zwęziły się w kose szparki.

– Po prostu nie tańczę – Ewka odwróciła od niego głowę.

Wąsik wsunął ręce do kieszeni, wydał pogardliwie wargi.

– Jeszcze zatańczysz.

– Jak się pan odzywa – powiedziałem oburzony. Ale on nawet nie spojrzał na mnie. Odszedł leniwym, rozkołysanym krokiem.

Chciałem coś krzyknąć za nim. Ryszard przytrzymał mnie za rękaw.

– Tajniacy – zaszeptał konspiracyjnie.

– Więc co z tego – gorączkowałem się. – Czy wolno im obrażać?

Ryszard spojrzał na mnie z ironicznym zdziwieniem.

– Mówisz jak dzieciak.

Zerkał teraz na tych trzech tajniaków. Był wyraźnie zaniepokojony.

Ewkę rozbawiło to zdarzenie. Była bardzo próżna i cieszyło ją zainteresowanie mężczyzn.

– Nawet dość przystojny – rozważała, bawiąc się moim rozdrażnieniem – tylko ten wąsik...

Ci trzej rozmawiali przy barze z milicjantem. Słuchał ich wyprężony słuźbiście.

– Widać jakaś tajna szarża – uznał Ryszard. Bardzo był zaniepokojony.

Nie rozumiałem przyczyny jego niepokoju. Dzielili nas jednak dość duża różnica wieku.

Milicjant poprawił pasek pod brodą i począł przeciskać się między tańczącymi. Zatrzymał się przy naszym stoliku.

– Dokumenty – warknął.

Podaliśmy swoje dowody. Długo, skrupulatnie przeglądał. Na szczęście wszystko mieliśmy w porządku.

Milicjant oddał Ewce i Ryszardowi dowody. Mój zatrzymał.

– Pozwólcie – skinął na mnie.

Poszedłem za nim. Zaprowadził mnie do dyżurki przy szatni. W dyżurce byli już ci trzej. Wąsik uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Chłopcze – powiedział przyjaźnie. – Nie upieraj się.

– Nie rozumiem.

– Zaraz zrozumiesz – perswadował Wąsik. – Ta lalka nam konweniuje.

– Niekiepska – wtrącił ten w zielonej koszuli.

– Konweniuje – powtórzył to słowo z upodobaniem Wąsik.

– Jaka lalka – oburzyłem się. – Jak panowie mówią o mojej koleżance. To jest studentka...

– Spokojnie – burknął na mnie milicjant. – Nie podnoście głosu.

Taki pocziwiec z wyglądu, czerwony o perkatym nosie – wyraźnie chciał się im przypodobać.

– O właśnie, spokojnie – podchwycił Wąsik. – Ci młodzi tak się gorączkują... Mamy chęć na laleczkę, my też ludzie, rozumiesz, weźmiemy, damy parę złotych, a jutro znów się zobaczycie...

– Nie bój się – dodał ten w zielonej koszuli. – Krzywdy jej nie zrobimy... A wam, studentciakom, przecież się nie przelewa...

Wąsik przytaknął słowom swego kolegi z aprobatą. Czulem rosnące oburzenie, wściekłość. Te ich bezczelne, pewne siebie gęby. Ta ohydna rozmowa.

– Nie – powiedziałem gwałtownie. – Za Boga nie!!!

Wtedy pucołowaty milicjant dość boleśnie kopnął mnie w kostkę.

– Nie upierajcie się – spojrzał przymilnie na Wąsika.

Wąsik przygryzał wargi, wyraźnie zniecierpliwiony.

– Może nie wiesz, kto jesteśmy – podsunął mi jakąś legitymację. – Zobacz...
Nie chciałem patrzeć.

– Nie baw się ze szczeniakiem – odezwał się mężczyzna w wojskowej koszuli. – To wyjątkowo uparty chuligan, rozrabia, trzeba go na komisariat.

– Czy na komisariat tego chuligana? – zapytał milicjant.

– Nie tak łatwo!

Skokiem rzuciłem się do drzwi. Ktoś grzotnął mnie kułakiem w brzuch. Poczułem mdłości ohydną falą idące do gardła. Wąsik przyparł mnie do ściany. Wykręcał boleśnie ręce. Dwaj jego koledzy i milicjant wyszli z dyżurki. Jeszcze w drzwiach milicjant jakby z ubolewaniem popatrzył na mnie.

– No i jak – zaczął pieszczotliwie Wąsik.

– Nie... – wystękałem. – ...Nigdy... Ty wiejski elegancie z wąsem, ty najpiękniejszy ze wsi!

Odsunął się o krok. Przyglądał mi się z zimną, drańską złością. Widać trafiłem w jego czule miejsce tym powiedzeniem. Otworzył szeroko drzwi dyżurki.

– Kapral! – krzyknął.

Przybiegł milicjant.

– Weźcie dziewczynę i tego drugiego do dyżurki – rozkazał Wąsik. – A my z tym na komisariat.

Zaraz też weszli dwaj pozostali tajniacy.

To byli fachowcy, bo nawet nie wiem, kiedy znalazłem się na ulicy. Parę kopnięć i już byliśmy przed tym barakiem-lokałem. Dwaj tajni trzymali mnie pod ręce, trzeci, ten mały, szedł z tyłu. Znów spróbowałem się uwolnić od łap ściskających mnie za ramiona. Ale ten z tyłu kopnął mnie pod kolana, a dwaj po bokach wykręcali ręce. Byłem obezwładniony jak kukła.

Prowadzili najkrótszą drogą do komisariatu poprzez plac budowy. Stróż wyjrzał z budki, ale zaraz cofnął się i zgasił światło.

Ten z tyłu chrząknął znacząco. Wszystko odbywało się w milczeniu. Tylko ich posapywanie i mój jęśliwy, stękający oddech. Upadłem na ziemię, głowę ukryłem w ramionach. Ale po chwili musiałem wstać, szarpnięty do góry jak tłumok. Wzięli mnie pod ręce, przez dziurę w płocie przeprowadzili na ulicę.

– No, teraz... – Wąsik uśmiechnął się zagadkowo.

Ogarnął mnie zwierzęcy strach. Bo już o niczym nie myślałem, tylko z której strony i gdzie mnie uderzą. Skuliłem się.

– Na razie masz przerwę – powiedział ten z tyłu.

Wąsik wyjął chusteczkę, wytarł twarz i ręce.

Pusta ulica. Gdzieś daleko stukot kroków. Ich twarze błyszczwały ślisko.

Wszyscy trzej poprawili marynarki, krawaty. Coś zaszepotali między sobą. Śmiech.

I już ta brama z tabliczką – XI Komisariat. Dopiero w korytarzu zobaczyłem twarz tego najniższego, który szedł z tyłu. Wąska, bez zarostu, nad czołem miał spiętrzone w czub włosów.

Skądś doszedł jakiś zwierzęcy, pijany wrzask. Zadygotałem. Dyżurny milicjant drzemał za stołem. Na nasz widok zamrugnął powiekami i wstał szybko, trzaskając obcasami. Wąsik pochylił się nad stołem, ściszone głosem mówił do milicjanta.

– Tak jest, tak jest – powtórzył kilkakrotnie dyżurny.

– Obywatelu sierżancie – odezwałem się – ... zostałem bezprawnie.

– Milczeć! – huknął dyżurny.

Otworzył drzwi i kogoś zawołał. Przybiegł drugi milicjant, też zaspany, też trzasnął obcasami.

– Do pokoju nr 7... – polecił dyżurny.

Drugi milicjant zaprowadził do drzwi na końcu korytarza.

Zielone ściany, biurko, dwa krzesła, na suficie odrutowana żarówka, a w oknie kraty.

Milicjant cicho zamknął drzwi za sobą. Zostałem sam z tymi trzema tajnymi. Wąsik zdjął marynarkę, powiesił na krześle. Niski bez zarostu również zdjął marynarkę. Spojrzał na zegarek.

– Pierwsza – ziewnął.

A ten trzeci zagapił się bezmyślnie w okno i dłubał w nosie. Za oknem ciemno. Żółte, mdłe światło rozlewało się po pokoju. Wąsik chrząknął. Kiedy zaczną i jak będą tłuc? Napięty i tym oczekiwaniem wypełniony – rzuciłem się w kąt, wtuliwszy głowę w ramiona. Ten w zielonej koszuli pociągnął mnie za nogę. Przewróciłem się. Kopnęli parę razy, ale nie za mocno. Tak niedbale, byle jak; w taki sposób, jak trąca się ścierwo jakiegoś. Z ulgą zanotowałem w świadomości, że nie za mocno. Zaprzagnąłem, żeby tylko mnie kopali. Z taką niedbałą, niezbyt dokuczliwą siłą.

Posadzili na krześle. Byłem teraz zobojętniały, tępy. Bili miarowo po szczękach. W głowie huczało. Pomyślałem tylko, że jak stracę przytomność, to na pewno przestaną tłuc. Ale nie mogłem stracić przytomności.

I wtedy zacząłem wrzeszczeć, ile sił.

– Bandydzi!!

Wąsik z pobłażliwym uśmiechem stał nade mną. Skinął na tamtych. Wkrótce dławiła mnie wpechnięta w usta mokra, ohydna chustka. Wąsik siadł na krawędzi stołu i dalej patrzył na mnie. Tamci dwaj uśmiechali się. Wąsik spojrział na zegarek. Otworzył drzwi. Za chwilę przyszedł dyżurny. Tajni włożyli marynarki.

Dyżurny zdjął swoją i powiesił na krześle.

– Teraz ze mną zatańczysz, sukinsynie – dyżurny szczypnął mnie szorstkimi paluchami pod brodę. Zamknąłem oczy. Czekałem. Ogarnęło mnie znużenie, stan jakby półsenny.

Posłyszałem kroki tych tajnych. Oddalające się kroki. Teraz cisza... Czekałem.

– Wstawaj! – dyżurny wyszarpnął mi z ust szmatę. Wstałem posłusznie, po chwili uchyliłem powieki. Dyżurny przyglądał mi się dobrodusznie.

– Nie będę się paprał – mruknął jakby do siebie. Nałożył marynarkę.

Stałem przed nim sztywny, nieruchomy.

Zapalił papierosa, zaciągnął się dwa razy i wetknął mi w usta.

– Popał se...

Zakrztusiłem się dymem, wyplułem papierosa.

I rozplakałem się żałośnie. Za chwilę, w jakimś nieoczekiwanym zapamiętaniu, wyciągnąłem z kieszeni legitymację Związku Młodzieży.

Zacząłem ją drzeć na strzępy. No coraz drobniejsze kawałki.

Dyżurny przyglądał się temu z pobłażliwym rozbawieniem.

– Oj, wy młodzi – westchnął – ... sami sobie zawsze robicie nieszczęścia... Jeszcze to teraz – popatrzył na strzępy legitymacji rozsiane po podłodze.

– Ja tego nie widziałem – dodał.

Otworzył drzwi.

– Zmykaj.

Niezgrabnym, ciężkim krokiem wyszedłem na korytarz. Na schodach obejrzałem się ostrożnie. Ale nikt nie szedł za mną.

Na ulicy trochę otrzeźwiałem. Chłodna, wietrzna noc. Powlokłem się do tej knajpy, skąd mnie zabrali. Ewki i Ryszarda nie było.

Szatniarz, stary kuternoga, patrzył na mnie współczująco.

– Ten Wąsik to wysoka szych – zagadał – bardzo mocny! I ogier!

Szybko wyszedłem. Chodziłem bez celu pustą ulicą przed dworcem.

Ktoś krzyknął za mną. Przystanąłem nie odwracając głowy. Był to Ryszard. Bardzo się ucieszył.

– Mogło być gorzej – powiedział – mogli cię zapakować do aresztu. Za chuligaństwo na przykład... Świadkowie są. Napadłeś tego z wąsikiem...

Obrzydliwa była ta jego niewolnicza mądrość. Ale zgodziłem się.

– Mogli. A co z nią? – przypomniałem sobie o Ewce.

– Wrócili i wzięli ją ze sobą – odparł Ryszard unikając mojego spojrzenia.

Tylko przez krótką chwilę pomyślałem o Ewce. Myśli w mojej głowie były jakby porwane na strzepy, żadna nie mogła się rozwinąć, ledwo rozpoczęta zanikała gdzieś.

– Ale i tak dobrze – słyszałem jak z daleka głos Ryszarda. – Ten policjant, co nas pilnował, opowiadał, że kiedyś ten z wąsikiem lepszą hecę urządził. Jedna dziewczyna nie chciała z nim pójść, więc oskarżył ją, że próbowała mu zerwać zegarek z ręki. No i zamknęli ją do paki.

Znów pomyślałem o Ewce. Ona na pewno teraz z Wąsikiem... Już skończyła się ta moja historia z Ewką... Bolało mnie wszystko. Boki i piersi przy oddychaniu, a najbardziej głowa, coś jak świderk drażyło oczodoły.

Ostrożnie obmacywałem twarz. Poprosiłem Ryszarda o lusterko. Mądrze bili, bez żadnych śladów.

1960

GOLĄB

Nie wiadomo, czy miał dobrze w głowie czy nie. Ale wobec naczelnika był wariatem. Wyglądał groźnie – oczy przekrwione i głos dudniący głucho.

– Pośmieciuchy – warczał na więzienne naczalstwo, błyskając zębiskami – pośmieciuchy!!!

Ci zaś uspokajali go łagodnie i z daleka. Niekiedy miotał się po celi i tłukł głową w ścianę. Jednak od pewnego czasu ten wariat jakby uspokoił się. Klawisze, zaglądając do niego przez judasz, widzieli go niezmiennie pod okienkiem. Słyszeli też, jak gwizdał przenikliwie po gołębiarsku na palcach. Do celi przez kraty wsuwał się wolno stary gołąb, ulicznik. Przekrzywiał łebek, gruchał z cicha i siadał na dłoni wariata. Skutecznie zbierał z niej okruszyny chleba. Dziwili się klawisze.

– Wychował go se – powiadali.

Zameldowali naczelnikowi. Po paru dniach przeniesiono wariata do innej celi. Nie poszło z nim łatwo – szarpał się i walił pięściami, wreszcie skuli go w dybki i wywlekli. Właściwie cela, w której znalazł się teraz, była lepsza od poprzedniej. Jasna, nawet nikły promyk lizał ścianę. Wariat rozpoczął głodówkę. Błaznaną miskę wyrzucił na korytarz. Oddziałowy uchylił drzwi i spytał o powód głodowania.

Zapisał w grubej księdze oddziału – żądanie przeniesienia do starej celi.

– To nie jest wariat – uznał naczelnik i zatarł ręce.

A do tej starej celi jeszcze nie raz zaglądał szary gołąb, przekrzywiał ciekawie łebek i odlatywał, jakby zawiedziony.

1960

TYTONIOWA SPRAWIEDLIWOŚĆ

Wieczorem w ich celi zginął tytoń. Po dochodzeniu podejrzenie padło na chłopaka z kie-
lecczyzny, najcichszego z palaczy.

Złodzieje otoczyli go kołem i bili po czerwonym karku.

Upłynęło kilka dni, tydzień może, i okazało się, że zbili go niesłusznie – tytoń znaleziono u
innego.

– Jesteś trąba – powiedział do chłopaka ten, który rękę miał najcięższą. – Nic nie mówi-
łeś... Dlaczego?

– Po co – odparł wieśniak – żebyście dołożyli więcej?...

– Masz... zapal – rzekł ten z wyrzutami sumienia.

Podsunał paczkę papierosów.

– I weź sobie kilka...

– Nie palę – mruknął chłopak – odzwyczailem się.

1959

OBURZENIE Z POWODU DIABŁA

Siedzieliśmy we dwójkę w narożnej celi. Dzisiaj poszli pierwszy raz do łaźni. Stary złodziej ciało miał chude, poznaczone misternymi tatuażami. Przygarbiwszy się nieco, puścił z prysznicą strumień wody. Mrużąc oczy spoglądał na swego młodego kumpla, który starannie składał szare, więzienne ubranie.

– Elegant – mruknął stary – dba o gabardynę.

Nagle otworzył szeroko oczy i wyskoczył spod buchającej parą wody.

– Pokaż – wrzasnął.

Chwycił młodego za ramię. Na barku dojrzał wyraźnie wizerunek brodatego diabła.

– Taki sam! – zaśmiał się chłopak i wskazał na zwiroteczny bark starego. – A nawet – dodał – mój lepszy.

Ten stary pod prysznic już nie wrócił.

Rozdygotanymi palcami zapinał spodnie.

– Dużo lepszy! – zachichotał młody, pokrywając głowę czapą mydlin – dużo lepszy...

Idąc na swój oddział przemierzali z wolna chłodny ponury korytarz.

Klawisz poganiał ich gniewnie.

Przed drzwiami narożnej celi stary złodziej cofnął się gwałtownie.

– Tam – mruknął – nie wejść...

– Co wy!! – Klawisz potrząsnął pękiem kluczy.

– Ja z nim – wyjaśnił stary – siedzieć nie będę...

– Raport! – wrzasnął klawisz – piszę raport!!

1959

FATALISTA

Ci dwaj doliniarze mieszkali w kamienicy przy Pańskiej i przed robotą wypijali zawsze po większej wódce.

Była godzina popołudniowa, dla nich najlepsza – szykowali się do miasta. Geno duszkiem wychylił szklaneczkę i wyszli na ulicę.

– Mój leci – mruknął Geno.

W dolinę jeździł zawsze dziesiątką do Głównego.

– Daj coś na fart – rzekł jeszcze do przyjaciela.

Tak prosił go co dnia. Tamten poszperał w kieszeniach i wręczył mu złotówkę. Roześmiał się patrząc, jak Geno nabożnie chucha na monetę.

I tego właśnie dnia Geno wpadł. Złapali go za rękę, a więc z dowodem. Zasmucił się kumpel. Wieczorem zaszedł od podwórza do aresztu. Pod pachą trzymał zawiniątko z kielbasą i papierosami. Przyłożył twarz do zimnych i chropowatych krat okienka.

– Geno!... – szepnął przeciągle... – Geno, słyszysz?...

W gęstej ciemności celi coś zamajaczyło niewyraźnie. Kroki. Przy okienku stał Geno.

– Masz – szeptał przyjaciel – żarcie... popalunek...

– Nie biorę – przeciął ponuro Geno – nic nie biorę... Ty mi nie dajesz fartu...

– Ależ, Geno – rozzłościł się ten drugi i mocniej przywarł do krat – nie bądź głupi...

– Ta twoja kurewska złotówka! – posłyszał uparty głos przyjaciela.

1959

PAŹDZIERNIK

Pamiętny wiec na Placu Defilad. Ogromny tłum na tym placu. Ludzie ożywieni i radośni. Mnóstwo pijanych. Śpiewają patriotyczne i religijne pieśni – *My chcemy Boga, Rotę, Jeszcze Polska...*

A Gomułka witany entuzjastycznie.

– Drugi Sikorski!! – ktoś powiada z tyłu.

Jakaś kobieta w żalobie płacze ze wzruszenia. Tysiące oczu wpatrzonych w Gomułkę. Pijani też cichną.

Jego przemówienie to był hymn narodowego patriotyzmu... Nie damy się... Polska to nie żadna kolonia... Polska będzie suwerenna, niepodległa, z Mocarstwem możemy, ale jako równouprawnieni partnerzy... Pięknie wyłożył wszystko Gomułka... I o złej gospodarce też mówił... I o wojskach obcy, które groźnie manewrują gdzieś w pobliżu Opola...

– Mamy Polskę!! – wzruszali się ludzie jak dzieci.

Huragan braw dla Gomułki.

Ludzie rozchodzili się powolnie. Jedni zamyśleni, milczący. W tym myśleniu waga słów powiedzianych przez Gomułkę. Ich doniosłość... Inni rozkrzyczani, radośni. Podrzucali w górę czapki, obejmowali się i całowali zamasyście.

Na skraju placu zobaczyłem dwóch znajomych doliniarzy. Obaj w pilśniowych kapeluszach, spoceni. Ich oczy błyszczały radosnym ożywieniem.

„I oni też”... – pomyślałem.

Pociągnęli mnie na obelisk.

– Ale dziś były trafunki – powiedział niższy, zwany Kaczorem.

– Waluta po prostu sama w graby szła... – dodał drugi, stary, tramwajowy fachman.

Pokazali kilka portfeli, kłęby pomiętej forsy.

– Jakby zdrętwieli... – dziwił się Kaczor. – Frajerstwo!

– Gomułka!! – skandowano wokół nas. – ... Gomułka!!!

1960

NIM DO NICH ZADZWONI ZNÓW

Oni byli młodzi, długowłosi i sprężyści. Mózg w okularach, o twarzy inteligentnego, wrażliwego prymusa.

A pan Karol starawy i zmarniały, garbił się i nerwowo poruszał małą, ptasią główką pokrytą rzadkimi przylepionymi włosami.

Pan Karol był paserem. Oni, ci młodzi, zrobili skok. Pan Karol nabył od nich towar.

Teraz patrzy psim, spłoszonym wzrokiem na sędziego i powtarza:

– Wysoki Sądzie, to pomyłka.

– Jaka pomyłka – pytał po raz któryś zmęczonym głosem sędzia.

– Ja przecież... – pan Karol zawahał się po raz któryś i prześliznął oczyma po sprawcach napadu siedzących na sąsiedniej ławie. – Ja przecież byłem od dawna w kontakcie z komendą. Oto telefon majora – wyprostował się i wyrecytował dobitnie numer telefonu.

– Sprawdziliśmy – przerwał mu sędzia – major był w tym czasie na urlopie.

Rodziny oskarżonych obecne na sali poruszyły się i dały się słyszeć złośliwe śmiechy i okrzyki. Pan Karol zgarbił się i wtulił ptasią główkę w ramiona.

– Spokój! – sędzia uderzył pięścią w blat stołu.

Rudy milicjant, który konwojował pana Karola, uśmiechnął się. Prawą dłoń położył na lewej. Wpatrzył się w sygnet ozdabiający przedostatni palec. Sygnet był z błękitnym kamieniem i czterema guzami. Przetarł rękawem kamień. Znów uśmiechnął się nieznacznie.

– Właśnie – powiedział pan Karol z nadzieją w głosie – był na urlopie. Dlatego tak to wyszło. Ja już raz rozpatrywałem dla niego rozmaite sprawy.

– Nie rozumiem – powiedział chłodno sędzia.

Przekładał akta. Coś podkreślił, włożył ołówek między stronicę.

Pan Karol wpatrzył się gorączkowo w swego obrońcę z urzędu. Młody adwokat z nieukrywanym obrzydzeniem odwrócił głowę.

– Tak się umówiliśmy – wyrzucał pospiesznie słowa pan Karol – jacyś robią skok. Idą do mnie z towarem. A ja za telefon do majora.

Młodzi oskarżeni poszeptali między sobą. Ten najważniejszy wśród nich, Mózg, uśmiechnął się pogardliwie. Sędzia z trzaskiem zamknął akta.

– Sprawdziliśmy – powiedział. – W komendzie nic o czymś takim nie wiedzą.

– Jak to – aż zachłysnął się pan Karol – nic nie wiedzą!

W przerwie pan Karol zbliżył się do swego obrońcy. Towarzyszył mu rudy milicjant z sygnetem na przedostatnim palcu.

– Panie mecenasie – dyszał i rzeził pan Karol wycierając chusteczką spocone czoło – niech pan zadzwoni. Oni muszą powiedzieć. Przecież ja tyle razy dla nich – przychylił się i dodał szeptem zionąc kwaśnym oddechem – nawet płacili.

Młody obrońca cofnął się i odwrócił głowę.

– To już nic nie da – powiedział. – Za późno.

Pan Karol gniótł w dłoni brudną chusteczkę.

– Idzie mu jak po grudzie – wtrącił rudy milicjant. – I kobita do niego nie przyszła. A tak mówił, klasa babeczka, fajek przyniesie, pomarańcze.

Korytarzem przechodzili oskarżeni skuci w kajdankach. Mózg pierwszy. Pan Karol przyłgnął do ściany. Ci młodzi nie popatrzyli na niego. Rudy milicjant szturchnął w plecy pana Karola.

– Idziemy.

Pan Karol ruszył posłusznie.

– Nie martw się – roześmiał się rudy milicjant i mrugnął do młodego adwokata. – Odbędziesz wyrok i jeszcze do nas zadzwonisz. – I tak niby pieśczośliwie wcisnął mu w szyję palce z tym pękatym sygnetem, nabitym srebrnymi guzami. Pan Karol zasyczał z bólu. Ale nic nie powiedział. Zgarbił się i wtulił swą małą ptasią główkę w chude ramiona.

1975

ŚWIĘTE MIEJSCE

Na Świętym Miejscu to ziele rośnie. Widzieli nieraz, jak tam zbierał. Tylko co to za ziele? Głuchy nie powie.

– Czym przyprawiasz? – huknął Stasiek. Głuchy oczy wytrzeszczył.

– Do smaku, znaczy, dodajesz co? – zapytał szwagier Staśka, przezywany Koniem.

A ryknął tak, że dzieciaki się pobudziły. Płakać zaczęły. Teściowa zanuciła monotonię. Najmłodszemu dała szmatkę zmoczoną w mleku do possania.

Głuchy jeszcze bardziej gały wytrzeszczył. Stasiek cmoknął do niemowlaka. Połaskotał go po czerwonej główce, pokrytej rzadkimi jak puch włoskami.

– Wcielenie moje – powiedział.

Najmłodszy jego syn.

– Wcielenie – powtórzył i za butelkę sięgnął. Połał. Pierwszy wypił Koń. Po nim Stasiek. Dobra samodzielka. Ziele wonne takie, samodzielka szlachetnie się robi, smród jej właściwy zabity zostaje. Gdzieś ziele owo między mogilnymi kopczykami rośnie. Głuchy na ziołach się zna. Różne wynajduje. Na bydlęce boleści. Ludziom pomocne.

Pomlaskali, długo jeszcze ten ziołowy posmak czując. Teściowa też wypila. Pokazała w błogim uśmiechu bezzębne dziąsła.

Oni sami cierpliwości do takiego kombinowania nie mają. Nieraz tak im się spieszy, że na bimber poczekać nie dają rady. Synalka wtedy ciągną.

Z okna widok był na obejście. Kobyła siano żarła z wozu. Żreback przy niej harcował. Do lasu miał jechać Stasiek po drzewo. Ale – robota nie zając – mruknął i zastukał paluchem w pustą kwartę. Głuchy ręce rozłożył. Wychlali wszystek jego napitek.

– Polej naszego – poradził Koń.

Ten synalek w gąsiorze stał, biały jak mleko i ciepły.

– Mleko od wścieklej krowy! – zarżał Koń.

Nie za mocny, ale złamać potrafi. Razu pewnego przyjechała znajoma milicja i rybów chciała. Chłopaki akurat synalka wiadro wydoili, wskoczyli do łódki i na jezioro. Huštało wtedy i wywróciła się łódka. Trzech ich było, dwóch połknęła woda, jeden się wyratował. Po synalku byli.

– Pokosztuj – Stasiek podsunął staremu kwartę.

Głuchy kwartę odsunął. Wybredny.

A oni cierpliwości nie mają i nieraz prosto z kadzi ten ciepły zacier, czyli synalka czerpakiem nalewają.

Teściowa z gąsiora oka nie spuszczała. Ona to lubi synalka.

– Mój chłopak – powiedział Stasiek – mógł wychlać. Nieraz bywało, taki gąsior we dwóch wysuszyliśmy.

Wzdychać zaczął. Koń też.

Zamknęli Staśkowi najstarszego syna. Sankcję dali. Popijali chłopaki w gospodzie i zwada nastąpiła. Oskarżenie powiada, że syn Staśka ciężkie uszkodzenie ciała temu drugiemu spowodował.

– Będzie wyrok – komendant posterunku powtarzał i o niczym nie chciał słyszeć. Na koniec szepetem dorzucił: – Wszystko w rękach prokuratora.

Przymrużył on wtedy oko czy nie? Przymrużył raczej.

– Prokuratora – powtórzył Stasiek. Długo w noc gadał z Haliną.

– Świniaka można na kosztą – powiedział.

– Krowę nawet – chlapiąc dodała jego baba.

Wybrał się do miasta. Macał tego prokuratora na różne strony. Macali się obydwu. Prokurator gruby, wypić lubi. Wygląda na swojego człowieka. Może da radę dogadać się z takim. Wyszło jeszcze na wierzch w tym macaniu, że prokurator rybki łowić lubi. Zaprosił go Stasiek na sobotę.

Wlepił ciężkie, przekrwione oczy w Głuchego i – jak tam z rybami? – zapytał.

Głuchy jeziora zna jak własną kieszeń, dniami i nocami bobruje po trzcinach, oczkach i buchtach rozmaitych, zawsze z rybą wraca.

Tak więc przyciska Stasiek tego dziada kosmatego, żeby choć ze dwa miejsca, gdzie ryba bierze, pokazał.

Dłonie w pięści zwarł, żyły na czoło mu wylazły.

– Ratować trzeba – chrypnął. Koń przytaknął.

Prokurator sobie połowi, siatkę czy haki postawi, rybów wybierze, wódki się ochla i zadowolony do miasta wróci. Nieraz w ten sposób dogadywali się z rozmaitymi.

Jeden redaktor tu przyjechał, ważna osoba, opisywać miał, jak to jezioro Pogorzelnikiem zwane, niszczyje w rękach chłopów, nastawiony był przez władzę i szło o to, żeby jezioro wiosce odebrać, upaństwowić znaczy.

Mały był, okrągłutki, filut taki, w oczach żwawe błyski mu skakały, fajczkę sobie pykał. Samochód miał kosztowny, ruski, stanął od razu przy samym jeziorze i zaczął węszyć. Gospodarze za nim opłotkami się skradali. Nie wiadomo było, z której strony go zażyć. Rybakiem nie był, rybów też zreć nie lubiał, ciężki taki, trudno podejściowy.

Wtedy to wiosce pomogła Żołnierka. Ta Żołnierka baba ogier, parzy ją krok i chłopów coraz to innych na sobie dźwiga, ilu już ją nadziało, ho, ho... Redaktor tylko Żołnierkę zobaczył i ślepią mu się zrobiły wielkie, wilgotne. Wiercić się zaczął i porteczki ciasne w kroczu sobie poprawiał. Gospodarze odetchnęli. Bo i Żołnierka miastowego panka zapragnęła. Znudziło się jej bez przerwy z wsiowymi się ruchać. Poczestunek był u niej we wdowiej chałupie. Na stole półmiski pełne kielbas, kiszek, salcesonów z ostatniego świniobicia i samodzielka w koniakowych butelkach, zielem przez Głuchego zaprawiona. Redaktor łapki pulchne, niewypracowane zatarł. Podpoili go wtedy należycie. Cichaczem opuścili chałupę. Sam z Żołnierką pozostał. Podglądali przez okno. Jak dzik się na nią rzucił. Ona, baba duża, piec nie baba, ledwo do cycków jej sięgał. Na łóżko się zwalili. Spódnice jej zadarł i główkę łysą, błyszczącą między nogi jej wsunął.

– Jak w wojsku służyłem – zaszeptał gajowy Ciumberabajka, chciwie w ten widok wpatrzony – to szef naszej kompanii tylko tak lubiał.

– Po francusku to było – opowiadała później Żołnierka, bezwstydnica. – I wylizał mnie tak, że sama bym się lepiej nie podmyła. – Nie kryje się ona z niczym.

– Kobyła jej mać – mówią o niej wioskowe kobiety.

– A wam, sabadule, zarosło do reszty! – pokrzykuje Koń, jak jest nachalny. Też go widziano z Żołnierką na Świętym Miejscu.

Zasłużyła się ona wtedy wsi. Redaktor rzecz całą w gazecie opisał, za chłopami ten opis stał, jezioro jak dotąd wioskowe, państwo jeszcze swojej łapy na nim nie położyło.

Świętowali tydzień bez mała. Cała wieś kołysała się jak okręt.

A wieś Zwierzyniec się nazywa. Od tego podobno ta nazwa osobliwa się wzięła, że w dawnych czasach dziedzic, co tam był, zwierzaki różne sobie posprowadzał i w klatkach je trzymał. Takie różne aż z Afryki i jeszcze dalszych stron. Podchodzili ludzie i na te stwory cudaczne popatrywali. Małpy miny i grymasy do nich stroiły. Od tego pańskiego dziwactwa wieś tak została nazwana. Gospodarze tutejsi doświadczenia z władzą mają od pokoleń i wie-

dżę, że jednemu to, a drugiemu tamto w łapy chciwie podsunąć trzeba. Tak samo Stasięk me-
dytował, żeby syna swego, co w ciurmie siedzi, ratować. Podsunąć prokuratorowi to, co mu
najbardziej przyjemne i twarde serce zmiękczyć, życzliwie nastawić do chłopskiej niedoli,
ojcowego bólu i matczyneęo płaczu. Jego baba Halina wczoraj mszę świętą na intencję naj-
starszego syna opłaciła i ten młody proboszcz, który do Ameryki po dolary na budowę nowe-
go kościoła jeździ, pomodlić się obiecał do Matki Boskiej Częstochowskiej.

Akurat ona z pola wróciła. Przeganiać zaczęła chłopów z chałupy.

– Chlają knury bez opamiętania – złorzeczyła, przesuwając z hukiem garnek na kuchennej
blasze. Też pochłać sobie lubi. Ale dziś była zła jakaś, humorzasta.

Przenieśli się do drewnitni. W samym kącie kwoka w koszu siedziała. Z góry przez dziurę
w dachu rude kocięta swe nastroszone łebki wystawiały. Tutaj Stasięk cały swój bimbrowy
sprzęt trzymał. Cuchnęło jak w gorzelnii. Głuchego posadzili na pniaku. Z dwóch stron go
obsiedli. Dłonie czarne, pokiereszowane na kolanach położył, zgasłego papierosa wargami
mamał. Do synalka nie można go było przekonać i monopolkę rozpijali. A pod koniec flaszki
jeszcze raz zapytał go Stasięk o rybne oczka na jeziorze najlepsze. Głuchy dłoń do ucha
przyłożył. Powtórzył Stasięk swoje zapytanie. Tak to ciągnęło się jak po grudzie. Głuchy na
tym pniaku znieruchomiał, oczy przymknał. Jak też pień.

Staškowego szwagra Konia brała chwilami ochota pchnąć starego w ten uparty, kołtuniasty
łeb z brązową szyją, pociętą przez ostre zmarszczki. Tracił już cierpliwość.

– Takiś ty głuchy – powiedział ze złością – jak ja głupi!

Głuchy znowu przyłożył dłoń do ucha i wytrzeszczał wodniste nieruchome oczy. Teściowa
z najmłodszym dzieciakiem na rękach podeszła pod szopę. Stanęła w drzwiach i myszkowała
byстрыm ślepiem po kątach. Stasięk drapał się po ciemieniu. Synalka chciwie żłopał.

Krowie poryki dochodziły z łąk. Świnie w chlewie kwiczały jak zarzynane.

– Gdzie Halina, kurwa jej mać! – powiedział wściewle Stasięk. Krowy domagały się wy-
dojenia, a świnie pewnie żarcia w korytach nie mają.

– Takie czasy – wystękał Głuchy – obrządzić nie ma komu.

Koń wzdychać zaczął. Rozbolały go gospodarskie myśli. Czas z pola posprzątać. Dach w
chałupie dziurawy i jak pada, miski w czterech miejscach trzeba stawiać. Nie ma ludzi do
roboty. Młodzi uciekają na tę budowę, co za lasem wyrasta. Zarobek tam łatwy, osiem godzin
przerobią i w barze „Uniwersalnym” przesiadują. Ten barek z prefabrykatów falistą blachą
kryty niedawno przy drodze postawili. Bufetowa z kierowcami koparek i dźwigów żartuje.
Brzuch jej wielki wyrósł.

Żle się dzieje w Zwierzyńcu. To prawda. Wstał Stasięk ze stosu polan, purpura mu gębę
oblała.

– Halina! – wrzasnął.

Krew mu do głowy uderzyła. Załomotało. Tak mu czasem uderza.

– Juchy trza by upuścić – zamruczał.

– Mówisz coś? – zapytał Koń.

Jest w Dybkach taki stary chłop, co złą krew puszcza. Raz mu ćwiartkę odciągnął i pomo-
gło. Zmyślny dziad. Tylko mówić o tym nie warto. Ciemny, powiedzą.

Kwoka w koszu rozgdakała się znieacka. Trzepnął ją polanem w durne, zacierzewione
oczy. Rozpostarła skrzydła i pofrunęła na sanki, co pod ścianą stały. Gdakała jeszcze głośnieę.
Na sankach wisiała uprzęż nabijana mosiężnymi guzami. Błyszczały one żółto.

Głuchy na poczęstunek podziękował i poszedł sobie. Chwała Bogu, że synalka chociaż nie
brakowało. Był w należyty m zapasie. Żłopali i gadali mało co.

Pod wieczór ziemia się zatrzęsła. Wybiegli ludzie z chałup. Wtedy dym zobaczyli. Pokazał
się szary obłok z łąki na górcę. Wisiał grzybiastą czapą.

Stasięk ze szwagrem pierwsi, dysząc i charcząc, wdrapali się na ten pagór pod lasem.
Owce oszalałe ze strachu na dół zbiegały becząc przeraźliwie. Ziemia na zboczu rozryta była i

dziura głęboka tam powstała. Kamiennych odłamków mnóstwo. Dymiło jeszcze. Miner stał sobie na kilofie wsparty i uśmiechał się skromnie. Tęgi kamień wysadził.

– Poszło – powiedział.

Gębę ma przez proch podziobaną, suchy cały i szponiasty.

– Elegancko – przytaknął Koń i wyciągnął sporciaki.

Zakurzyli.

Miner od lat za kamieniami po polach zagłada. Na początku z kilofem i szpadlem zabiera się do upatrzonogo. Następnie boruje i ładunek wsadza. Dynamit od żołnierzy za samodzielkę wymienia. Kuleje mocno na lewą nogę. Wypadek miał przy kamieniu. Przygniotło go.

– Chłopaka mi zamknęli – poskarżył się w ciemność Stasiek. – Znikąd ratunku żadnego! – Jego szwagier Koń westchnął i pociągnął go za rękaw.

– Coś jeszcze u mnie się znajdzie – te swoje zębiska jak łopaty w zachęcającym uśmiechu wyszczerzył.

Za nimi pokuśtykał Miner.

Noc zapadła, zasnął cały Zwierzyniec i tylko na Świętym Miejscu szepty jakieś i pojękowania ciszę niepokoiły.

Tam Żołnierka z młodym milicjantem miała schadzkę. Niedawno tu nastał, chłop zdatny, wysoki i on tak koło niego chodziła, tak oczami strzygła i powieki puszczała, rąbek fartucha skubiąc i chichocząc, aż swego dopięła. Leżała teraz pod nim, nogi jak konary wysoko do nieba uniosła i zawodziła z rozkoszy, a młody ogierek sapał, rzeził i czubkami butów w mogilną ziemię się wspierał. Bielały ich ciała rują poplątane w tę czarną, bezksiężycową noc. Szumiały brzozy, blaszane wieńce grzechotały z lekka; pistolet z pasem na najbliższym krzyżu młody milicjant powiesił.

Święte Miejsce na polanie wśród starych dębów schowane. Pośrodku grobowiec dziedzica sterczy. Bryła czarnego marmuru z posągami przedstawiającymi anioła dźwigającego krzyż. Anioł ma jedno skrzydło odłupane, ale dalej pięknie wygląda.

Gajowy Ciubarabajka zataczał się, gorzałą napompowany. Szedł na skrót obok Świętego Miejsca.

Szelest i jęki posłyszał stamtąd. Potem rzeżenie. Sprężył się jak żbik i złożył ze swojej dubeltówki. Wypalił. Ucichło wszystko.

– Ki czort – zamruczał gajowy i przeżegnał się na wszelki wypadek.

Święte Miejsce szanują ludzie. Żegnają się zawsze i czapkują bogobojnie. Mogilne kopczyki i stare, omszałe krzyże z dawnego powstania grobowiec dziedzica otaczają. Nad nimi brzozy rosną. Nocą niepokój zewsząd wyłazi.

– Ono – mówią starzy ludzie – nocami tutaj grasuje.

Postał jeszcze chwilę gajowy Ciubarabajka. W ciemność cmentarną niepewnie patrzył. Wiatr szeleścił w brzożach. Przeżegnał się drugi raz i chryzą krokiem puścił się do wsi. Ono też jakby za nim biegło.

Rankiem za ciesiołkę zabrał się Stasiek. Budy letnikom z tamtej strony jeziora stawia. Złote ma ręce do tej roboty i zamówieniom nastarczyć nie może.

Popluwał w dłonie i siekierą żwawo obracał. Żywiczne stróżyny miękko od sosnowych pniaków odchodziły. Wokół toczyło się życie podwórka.

Suka na łańcuchu miotała się jak oszalała. Dół głęboki w swym niewolniczym kręgu wyłobiła. Jej szczeniaki bawiły się pod wialnią. Jedno wyrzygało się białymi robakami. Kury wydziobały je skrzątnie. Halina siekała w szafliku zielsko dla świń. Nad obejściem nieruchomości zawisł jastrząb. Kurczęta wypatrywał ten zbój.

Głuchy lubił znikać i pojawiać się z nagłą. Tak też tym razem jak zjawa przed Staśkiem wyrósł. Stasiek odłożył siekierę i wygrzebał z kieszeni papierosa. Zakurzyli. Wtedy Głuchy rybne, sekretne miejsce na jeziorze wyjawiał mu wreszcie.

– Każden – powiedział – rybów wybierze, ile zechce. – Ucieszył się Stasiek. Po samodzielkę do drewni poleciał.

– Prokuratora się zaprosi – powtarzał – postawi haków, sieci zarzuci, rybów rozmaitych wybierze i zmięknie, zmięknie mu rura, musowo.

– A węgorze... – odezwał się Głuchy – na ziaby najlepiej.

Łazi on po mokrych łąkach i tych żabek miarowych szuka.

– Halina! – krzyknął Stasiek. – Nasmaż tam czegoś!

W sam początek przylazł Koń. On to ma wyczucie na chłanie. Staškowa baba zarznięła koga. Ugotowała w trymiga. Wkrótce obdzierali z ptasich kości białe mięso, a wonny rosół zabijał smak samogonu.

Halina też do chłania nabrała ochoty i do chłopów się przysiadła. Sen swój opowiedziała. Ten biskup Murzyn, co tamtego roku przyjechał na Boże Ciało do miasta, pojawił się jej we śnie jak żywy.

– Alem się wymęczyła – wzdrygnęła się Halina – zębiska białe, ostre do mnie szczyrzył, białkami łyskał, czarny taki, sadza wprost, w białej komży, biskupiej purpurze, tak się nachylał i nachylał, łapy wyciągał i w gębie różowości pełno.

– Ludojad – rzekł Koń.

– Po mojemu – odezwał się Stasiek – każdy sen coś znaczy.

– Alem się wymęczyła – powtórzyła i synalka chlupnęła z kwarty tęgi łyk. Samodzielki już zabrakło. Przeżegnała się.

Głuchy opowiedział, jak nocami na mokradłach coś jęczy. Dusze topielców. Tak mówił.

– Bajdy! – zachnął się Koń. – Stare ludzie wymyślają.

Teściowa przysłuchiwała się z boku. Tylko głową kiwała. Dali jej synalka pół kwarty.

– Święta prawda – wymamrotała.

Jeszcze opowiedział Głuchy o diable w kusym niemieckim stroju, co dawnymi czasy przed ludźmi wracającymi z karczmy wyrastał i na mokradła ich wprowadzał. Taką siłę w oczach miał, że szli za nim jak barany i w bagnach tonęli. Ksiądz przyjeżdżał parę razy i kropił święconą wodą te drogi zdradzieckie. Aż wreszcie diabeł przestał się pokazywać.

– Gdzie indziej się przeniósł – zakończył Głuchy.

Tak do południa zleciało.

W południe zdarzył się wypadek. Gajowy Ciumberabajka i stary Giemza wjechali wozem co koń wyskoczy w opłotki wsi. Giemza biczykiem w spocone, parujące zady swoich kasztanów walił. Oczy mieli rozlatane i choć mocno opici, całkiem ich otrzeźwiło. Drzewo ścinał w lesie. Od dawna było ono przez Giemzę upatrzone. Z gajowym sprawę opił, zadatek dał i zabrali się do piłowania. Źle wymierzyl i rąbnęło w słup wysokiego napięcia. Słup betonowy, ale złamał się jak zapalka i przewody elektryczne porwało. Zaraz z lasu uciekli.

– Mogło jebnąć – dyszał Ciumberabajka i kraciastą chustą pot z czoła ocierał. Prawda to. Silny prąd tymi drutami przebiega.

– Cud, że nie jebło – dodał stary Giemza. Z tych nerwów obaj chciwie do Staškowego synalka się przyssali.

Głuchy potoczył się ścieżką, co do jeziora prowadziła.

– Woda gorzałę wyciąga – powiedział.

– A w jednym to gorzała się zapaliła – rzekł Koń. – Niczym nie dało się go uratować.

– Żywy ogień – zabełkotała teściowa.

– Dzieciaków niech matka pilnuje – pognał ją Stasiek.

Na to z gębą do niego Halina. Strasznie ona za swoją rodziną. Zmilkzał. Baby nie da rady przegadać.

Potem musiał za krowami ganiać. Po wądolach, łąkach i chaszczach naszuka się człowiek głupiego bydłęcia. Byczki i ta jałocha myszatego koloru najgorsze. Zawsze gdzieś polizają. Kiedyś miał psa do ganiań akuratnego. Ale zdechł. Stary już był. W owsie, co miał pod rzą-

dowym lasem, natknął się na Minera. Stał ten Miner przy kamieniu. Był tam między owsem a koniczyną na miedzy taki kamień. Zawsze tam był. Graniczny go nazywali.

– A nie chciałbyś, sąsiedzie, żebym ci go wywalił? – zagadał Miner, gładząc ten głaz szary i porowaty, co jak garb z ziemi wyrastał. Kopnął go parę razy od spodu i dodał: – Za głęboko nie siedzi. – Zatarł dłonie. Jak kulawy diabeł wyglądał. Zaklął Stasięk.

– Krów lepiej pomógłbyś mi szukać! – Pognał dalej.

Wieczorem z Dybków przyjechała milicja. Dochodzić, co się z tym słupem wysokiego napięcia stało. Cała wieś nabrała wody w usta. Milicyjny gazik pomknął w las.

Gajowy Ciubarabajka, drugi raz z nagłą otrzeźwiały, odetchnął głęboko.

– W nocy na Świętym Miejsu – przypomniał sobie – znak mi ono dawało.

Pot mu spływał z czoła grubymi kroplami. Pili dalej. Staśkowi mowę poplątało. Słowa mu w gębie rosły jak ciasto i więzły. Konia do obrządku wywołała baba. Wstał z trudem od stołu, zaniósł nim na piec, pozostał dla równowagi i sztywnym krokiem wymaszerował z izby. Na podwórzu nogą zawadził o bronę. Na czworakach wypełznął na drogę. Tam podniósł się jakoś. W ciemności słyhać było jego ciężkie kroki, rozchłapywał kałuże. Za chwilę u niego w obejściu podniósł się krzyk i rwetes. Rodzinę swą ganiał. Psa Lorda skopał z ponurą zawziętością. Wtoczył się do chlewu i długo młócił świnie orczykiem po opasyłach bokach. W chałupie odpoczął trochę, zrzucił gumiaki i w onucach na bosych stopach pozostał, już do sen łamał, kiwał się jak żydowin, ale wstał naraz i potykając się, wdrapał po drabinie na stryszek. Szczyć zaczął z okienka. Lubi tak. Z góry na dół. Długo marudził na strychu. To się miotnął, to zacichał.

Pomału wieś do snu się układała. Gdzieniedzie pobłyskiwały ogniki papierosów i słyhać było chichot. Muzyka z tranzystorowego radia jazgotała w krzakach. To chłopaki z dziewczuchami odprawiali swoje godzinki. Zaszczekał pies. Odpowiedział mu drugi, trzeci, czwarty. Ciemnica. Chłód ciągnął od jeziora. Daleko za lasem luna. Czerwona, żółtawą poświatą po brzegach obszyta. Budowa takie mocne światło dawała.

Staśkowa kobieta siadła przy stole, papier kratkowany z zeszytu wydarła i list do syna w więzieniu pisać zaczęła. Swoje wychłała i litery tańcowały jej przed oczami. – „W pierwszych słowach mego listu pozdrawiam cię, Ignaś, w imię Boże...” – kopiowy ołówek śliniac, z trudem wypisywała niezgrabne, krzywe kulfony. Jej chłop leżał na ławie i chrapał. Ślina sączyła mu się z rozdziawionych ust na brodę. Chrapał jak motor. Jeszcze na drugim końcu wsi wzmógł się hałas jakiś. To Boguś podjechał dźwigiem pod dom ojców. Pół roku będzie, jak ojcowiznę porzucił i na tej budowie za lasem robić zaczął. Stary Giemza wylazł na ganek w kalesonach.

– Wróć synuś – zajęczał; niby zjawa białął w ciemności.

Boguś zawiadaczko kierownicą obraca i dodaje gazu, dźwig ruszył i zda się na chałupę napierać. Cofnął się Giemza wystraszony. Boguś pewną ręką zatrzymuje maszynę tuż przed samym płotem. Wychłał co nieco w barze „Uniwersalnym” i tak go rozpiera.

– Wróć Boguś – powtarza stary Giemza. – Z pola trza wnet sprzątać.

Boguś wychyla się z kabiny i pyta: – A ziemię odpiszecie?

Giemza postękuje.

– Bładź – szepce, myśląc o synowej. Ona mu tak jedynaka skołowała i do złego podżega.

Giemzowa też wyszła na ganek i zawodzić zaczęła. Nie dają oni rady tych piętnastu móg obrobić we dwoje. Dźwig potoczył się wioskową, wyboistą drogą. Zacichło wszystko. Deszcz popadywał wolniutko. Ciepłe krople zwilżały ziemię.

Zbudził się Stasięk z pianiem koguta. Stękać zaczął. Pękała głowa. Zmartwienie gniołło. Czarno przedstawiały się widoki. Dźwignął się z ławy. Boso poczłapał przez izbę, pchnął drzwi i stanął w progu. Świtało już. Spojrzał przed siebie i oczy przetaił kulakiem.

– Ki czort! – aż cofnęło go.

Dwie baby na ławce przy kurniku siedziały. Całe w pierzach i krwi, gęś zarżnięta między nimi, z gęsiej szyi ciekła posoka. Flaszkę sobie postawiły na kubelku dnem do góry odwróconym i podpite już były. Białe zjawy. W tej bieli kropelki czerwieni pobłyskiwały. Drugi raz oczy przetarł kułakiem i rozpoznał te baby. Jego Halina to była i żona gajowego Ciumbarabajki.

Siedziały one, pierze chmurą fruwało, krew z gęsiej szyi ściekała i po łyżczku coraz odpijały.

- Co wy, baby?!... – wychrypiał Stasiek.
- Zakąskę szykujęm – odpowiedziała jego Halina.
- Gęsinę znaczy – zaśmiała się Ciumbarabajkowa.
- Gęsinę – powtórzył Stasiek.

Słońce wschodziło z za lasu. Siwe mgły leżały na łąkach. W tej mgle sylwetka za płotem zamajaczyła. Człap, człap, stapał ciężko Głuchy. Żaki dźwigał i wysokie za kolana gumiane buty miał na nogach. Wracał z jeziora. Pozdrowił Staśka, a na te baby krwią i pierzem upaprane popatrzył bez zdziwienia. Poczłapał dalej. Ciamkało miękko. Błocko po nocy się zrobiło. Wieś jeszcze spała.

1979

SEKRETARZ POWIATOWY

Dostojnik centralnego szczebla przejeżdżał mercedesem przez to miasteczko i pomylił drogę. Przeklinając niejasne znakowania szos zawrócił i podjechał pod Komitet Powiatowy. W korytarzu rozejrzał się po tabliczkach na drzwiach i wiedziony potrzebą najbardziej autorytatywnej informacji wszedł do gabinetu pierwszego sekretarza. Siedział pierwszy przy biurku zawalonym materiałami z terenowych konferencji sprawozdawczo-wyborczych, czytał i notował, przygotowując się do referatu na szczeblu wojewódzkim. Wicherzył włosy, popijał wystygłą kawę i pisał. Ciężko mu szło pisanie. Czas nieestosowny do takiego zajęcia, bo duszny upał wtedy i nawet wentylator słabo chłodził ciężkie powietrze w pokoju.

Partyjny dostojnik pozdrowił go i zapytał o drogę do wczasowej miejscowości L. Sekretarz nie unosząc głowy znad papieru obruszył się gwałtownie.

– Człowieku, czy wy macie dobrze w głowie? O drogę pyta! Od tego jest milicja.

Dostojnik był nieco zdziwiony tym opryskliwym przyjęciem.

Znali go przecież wszyscy w kraju z mnóstwa portretów i fotografii wystawianych przy okazji jakiejś okazji. Ale nie uniósł się wcale.

– Przepraszam – powiedział i zawrócił się do drzwi.

Pierwszy odprowadził go roztargnionym, nieżyczliwym spojrzeniem. Coś jedynie mignęło mu w pamięci. Skąd ja go znam? Ale nie zastanawiał się dalej. Mało to ludzi zna.

Wkrótce przybiegł zaaferowany komendant posterunku. Nachylił się nad biurkiem trącając sekretarza swym wielkim brzuchem i coś zaszeptał pełnym emocji głosem. Pierwszy zagapił się głupawo. Obrócił głowę, zapatrzył się w jeden z portretów wiszących na ścianie pod gołdem. Skąd zna tego człowieka? Trzeci w partii dostojnik! Ale komendantowi nie wydał się z niczego, starając się zachować obojętną minę.

– I skarżył się, że w Komitecie tacy nieżyczliwi ludzie – powiedział nie bez złośliwości komendant. – Od razu go poznałem – śmiał się i cieszył ten gruby wredziuch.

Nie szło już pisanie sekretarzowi. Myśl była gdzie indziej. Przypominał sobie drobiazgowo te niedawne odwiedziny. Swój głos nieprzyjemny i burkliwy. Potem to grzeczne i zagadkowe – przepraszam – dostojnika. Czy taki może zapamiętać? Tyle spraw ma taki na głowie. Narady, wyjazdy, przemówienia. Ale znów jedno słowo takiego wystarczy. Niby to żartem opowie, jakie w takim a takim Komitecie zgotowano mu przyjęcie. Drzwi pokazali, po prostu powie. Ktoś, lizus jakiś zapamięta. A potem wystarczy – sprawdzić, jak tam partyjną robotę prowadzi sekretarz ten a ten – i dodać z naciskiem – coś mi się wydaje, że nie za bardzo daje on sobie radę...

Cały tydzień miał zepsuty powiatowy sekretarz. Ale nie zwierzył się nikomu. Nawet żonie słówkiem o tym nie pisał. Tylko z lat dawniejszych powiedzenie matki mu się przypominało. Służyło matce to powiedzenie na określenie jego życia niezgodnego z jej marzeniami o przyszłości syna. Prosta kobiecina. A tu on Boga się wyrzekł. Zaraz po wojnie w bezpieczeństwie służył. Prawdę mówiąc, imponowało mu to. Spluwa w kieszeni, ludzki strach. Zaprzaniec, mówili matce w oczy sąsiedzi. Powiedz kto, pytał się jej. Ale nigdy mu nie powiedziała. Potem jego też posadzili. Odchylenie mu dali. Nawet nie wiedział, jakie. I stara tak zawsze mówiła z fatalizmem jakimś denerwującym: – Bo do twojego brzegu to zawsze albo gówno, albo wiecha przyplynie. – Ludowe powiedzenie z jej wioski rodzinnej nad Wisłą. Tam woda przy

powodzi różne rzeczy na brzeg wyrzucała. Matka nie żyje już. Przed samą śmiercią prosiła go o pomnik na grób. Nie postawił. No bo jak to? Sekretarz i takie rzeczy? Może postawić. Taki jak chciała. Krzyż z czarnego granitu. Ale jak to zrobić, żeby nie dowiedzieli się ludzie. Siostrze dać pieniądze. Niech się tym zajmie. Siostra mu chyba świni nie podłoży.

– Do twojego brzegu to zawsze albo gównno, albo wiecha przyplynie – powiedział sobie niezbyt głośno, ale wyraźnie. Akurat drugi sekretarz referował mu sprawę działalności propagandystów w terenie. Powiedział i stropił się. Drugi sekretarz wytrzeszczył na niego gały. Czy słyszał? Drugi taki gładki, cwany, tylko szuka okazji, żeby mu nogę podstawić. Teraz przestał mówić i patrzy. Cholera wie! Słyszał, nie słyszał?

– Kierunek agitacji... – znów referuje monotonna drugi, a oczy ma nieprzeniknione – szedł w aspekcie wyjaśniania ludziom sensu politycznego ostatnich wydarzeń.

– „Szedł w aspekcie” – wrzasnął pierwszy. – Naucz się wreszcie mówić po ludzku!

1976

ZAPROSZENIE

Wszyscy gdzieś jeżdżą, taki Stelmaszczyk choćby, zadowolony, aż go rozdyma, już ma bilet, na walizkach siedzi, brat go zaprosił do Francji, brat ma domek i winnicę, dorobił się w tej Francji, albo ta Jadźka, dorwała Szweda, w głowie mu przewróciła, i ten Szwed już drugi raz ją zaprasza, też się jej w głowie przewróciło, wielka dama, przychodzi i tak mówi: wicie, Olaf przyjechał, zatrzymał się w „Forum”, byliśmy tam na obiedzie, trzeba przyznać, europejski poziom, tak ozorem pytluje ta Jadźka i co najmniej jak jakaś hrabini się czuje, swoją drogą w tym „Forum” kupę dolarów trzeba płacić za dobę, co on w niej widzi, ten Szwed, wszyscy gdzieś jeżdżą, psiakrew, u mnie w robocie też paru takich, Piotrowski w tej swojej zagranicznej rodzinie może przebierać jak w ulęgalkach, tyle tego ma, a jaki zrobił się rodzinny, w pracy listy kropi, na pocztę lata jak kot z pęcherzem, znaczki dobiera, te kolorowe, ładne proszę, okleja te koperty i wysyła lotniczą pocztą, tak mu na tempie zależy, sam mi powiedział: ciekawe, która rybka pierwsza złapie się na haczyk, o tęsknocie im piszę, to, śmo, tak ich podbiera, bajer wstawia znaczy, ten Franek też się krząta jak może koło zagranicy, ojciec zaraz po wojnie tam został, znaczy w Anglii, swoją drogą świnia, żonę zostawił na lodzie, naszarpała się kobiecina, nim tego Franka wykierowała na ludzi, coś niby stamtąd przysyłał, jakieś paczki, bony wybierali w PKO, ale czy dużo tego, czy mało, kto wie, Franek zawsze mówił: nie mam ojca, a teraz całkiem zmienił front, tatuś, powiada, zaproszenie przysłał, podróż opłacił, wybieram się do niego, Edynburg, powiada, o patrz, fotografia jego domku, fajny, nie?, dwa samochody mają, a to on i jego druga żona, Szkotka, tak gada i łapy zaciera, wyliczył sobie, że trochę dewiz tam uzbiera, popracuje po cichu, resztę ojciec dołoży i wózek sobie kupi, polskiego Fiata, jak go kupisz za granicą, to nie ma cła od wagi, to wszystko akuratnie wyliczył, tak to jeden z drugim głowy sobie łamią, podlizują się tym swoim krewniakom, miodem ich w listach smarują, ci krewni też rozmaicie mogą sobie myśleć, nie każdy naiwny przecież i tę nachalność mogą dosyć łatwo odczytać, tak więc intencję odczytać mogą właściwie i mówią sobie: obsiadły nas te krajowe hieny, tfu, psiakrew, już to mnie zaczyna denerwować, znałem jednego takiego, co nikogo tam nie miał, a jednak tak się uparł, to wynalazł jakąś dziesiątą wodę po kisielu, kuzyna kuzynów, listami go omotał, nie minął rok, już go drogim i kochanym bratem nazywa, wyszedł mu numer, przysłał zaproszenie, jak w pokerze, postawił na bluff i mu wyszło, miał szczęście, a jak wróćą z tych podróży, jacy ważni, gazowymi zapalniczkami pstrykają, dewizowe przeliczenia mamroczą jak różaniec i myślą, że pana Boga za nogi złapali, od nas z roboty paru też służbowo wyjeżdżało, ba, nim wyjadą, niezgorzej muszą chodzić koło tego, różne są układy, który pojedzie i gdzie pojedzie, bardzo za tym węższą, jeden drugiego pilnuje, bo w takich grach żadnego już nie ma koleżeństwa, rozmaite świnie podkładają, a w oczy tak sobie szczerze, serdecznie patrzą, a jak im wreszcie coś wyjdzie, to tak meldują skromniutko, wyjazd im się kroi, Belgia czy jakaś Austria, tak mimochodem bąkną, że to drobiazg, ot, delegacja służbowa, ale jak oni się do tego szykują, cholernie szykują, jeden z nich to się paskudnie obsunął, pazerność go zgubiła, jakieś handle, szwindle na delegacji porobił, ktoś go przykapował, raport należyty posłał do dyrekcji, no, leży on teraz jak betka, we wszystkim go omijają, nawet kadeele mu się pokończyły, zmarniał chłopina, zółć go zalewa, a nic swego losu zmienić nie może, ludzie ze świata wracają, ruch taki, swoimi wrażeniami się dzielą, a on tak coraz niżej łeb do papierów przysuwa, że niby

taki zapracowany, pisze, grzebie, przekłada w tych papierkach, a uszy mu rosną, jak jeszcze mu rosną, i wszystko on słyszy i zazdrość go pali jak gorączka najgorsza, ale co na to poradzi, nic, lubię ja na niego patrzeć, myślę wtedy: tak się starałeś, zabiegałeś, kombinowałeś, czapkowałeś, tyle lat twych mozolnych zabiegów, aż tu jedno potknięcie wystarczy, rozleciało się wszystko i nieprędko z tego się wygrzebieasz, zły poślizg złapałeś, biedny robaku, tak patrzę na niego i tak sobie myślę, ale tego, co myślę, nie mówię nikomu, po co mam wrogów sobie porobić, zresztą szczerze współczuję takiemu, pech mu się przydarzył, dlaczego mam nie współczuć takiemu, dużo gorsi tacy, którym wszystko się udaje, to są dopiero psiesyny, gęby im puchną i ślepia takie bezczelne, zadowolone, gładko, leciutko swoje zamiary osiągają, tak cię papierosem niedbale częstują, jakimś Pallmellem czy innym Winstonem, dziękuję, powiadam, wołę Ekstra Mocne, to, co sobie przywiózł, chętnie wszystkim pokazuje, o widzisz, płaszczyk albo ta skórka, leciutka jak puch, weź w rękę, a jaka ciepła, wcale nie chcę na to, co pokazują patrzeć, co mi tu jeden z drugim podgrywa, a ja jak małpa w kit będę się gapił, wcale nie patrzę, rozczarować takiego nagusa lubię, niedopieszczony wtedy, zachwytu i zazdrości na mojej twarzy nie widzi, całą przyjemność ma popsutą, tak mnie to prześladowało, ciągle te wyjazdy, rozjazdy, rodzina tu, rodzina tam, nawet swój specjalny żargon mają, jakieś sklepy, ulice, magazyny wymieniają, tu tanio, tu jeszcze taniej, a tu nie można kupować, broń Boże, street czy Strasse, oczy im się rozpalają, takich wielkich bywalców grają, kabaret, pamiętam, albo ten lokalik z gabinetami, tak szepczą i chichoczą, cały świat jak własna kieszeń dla nich, pośmięciuchy, psiakrew, już ich tam widzę, oj, dokładnie ich widzę, jak barany się miotają, oczy mało im nie wyskoczą, język słabo znają, dogadać się nie mogą, różne automaty, pstryk i guziki, znaczy cała ta mechanizacja zachodniego świata, nie wiedzą, co i jak przyciskać, a jak już przycisną, to wyskakuje im nie to, czego chcieli, ale wraca taki jeden z drugim, cedzi słowa, flegmatyka bywałego będzie mi tu odgrywał, psiakrew, zaczyna mnie to coraz bardziej denerwować, raz przecież inżynier Waclawek po pijanemu się wygadał, jak go Nowy Jork ogłupił, szum i tłum, tak powtarzał, moloch wprost, a jak uchlał się do reszty, to im opowiedział, jak w łazience nie mógł się połapać, co do czego służy, który guzik do sracza za przeproszeniem, a który do prysznic, kombinował, przyciskał i ciągle coś innego niż chciał się robiło, tak więc przyciskał, a potrzeba w nim była nie do wytrzymania, wypróżnienie znaczy, i ten wstyd, żeby taki ślad po sobie pozostawić, no i jak? wtedy go zapytałem, sfajdałeś się w portki, od razu otrzeźwiał, skąd, odpowiada, to były tylko żarty, czujny się zrobił, światowiec znów, psiakrew, żarty, powtarza, a swoją drogą, mówi, jeden nasz rodak, chłopak z wiochy zabitej deskami, co do brata za ocean się wybrał, taką właśnie miał przygodę, na kogo innego to swoje niepowodzenie zwałił, jednak ja swoje już wiedziałem, to byłeś ty, bratku; i śmiechem mu w twarz parsknąłem, bo wyobraziłem sobie, jak w portki nafajdał, popatrzył wtedy tak na mnie, tyle nienawiści w ślepiach, gdyby mógł, to ślepiami zabijać by chciał, tak koło mnie całe to tałatajstwo się rozpanoszyło, płasało i podrygiwało, a ja coraz bardziej zaczynałem się denerwować, niby mała sprawa, bolało to jednak, czym oni lepsi ode mnie, mam tylko wszystkich tych bredni wysłuchiwać i za jakiegoś niewydarzonego wśród nich uchodzić, z jakiej racji, czułem się coraz gorzej, nawet w nocy o tym myślałem, aż w pewną noc to mi właśnie przyszło do głowy, a jak już przyszło, to w żaden sposób nie chciało wyleźć, całkiem sobie łeb tym zaklinowałem, wiercić zaczęło jak świder uporczywy jakiś, czym oni lepsi ode mnie, ten mój sąsiad z przeciwka też się udał, śpiewaczyna marny jakiś, nigdy na niego nie zwracałem uwagi, tylko kłanialiśmy się sobie w windzie, pogoda taka czy siaka, wymienialiśmy zdawkowe uwagi o pogodzie, aż spotkałem go na schodach, z kubłem śmieci idzie do pojemnika, wesoly taki, pogwizduje, za rękę mnie łapie i mówi, wie pan, panie sąsiedzie, jadę do Szwecji, kontrakt mam już w kieszeni, w nocnym lokalu będę śpiewał, od razu mi humor zepsuł, coś tam mu odburknąłem, sam nie wiem, co, do Szwecji jedzie, powtarzałem sobie, kontrakt ma w kieszeni, pewnie już Volvo jakieś śni mu się po nocach, psiakrew, osaczyli mnie ze wszystkich stron, już na ulicy też tak ludzi mierzyłem, sondowa-

łem, patrzyłem, jak są ubrani, od razu przecież można się zorientować, nasze czy zagraniczne ciuchy noszą, tak sobie myślałem, jeździli gdzieś czy nie, jakie fanty stamtąd sobie przywieźli, albo ci, którzy samochodami jeżdżą, Citroen DS, Volkswagen czy Renault jakiś, na placówce gdzieś siedział, dewizy odkładał do kupki, narosła mu kupka i samochód sobie zafundował, różne są sposoby, może pracował gdzieś w Ameryce czy Anglii, może rodzinę za granicą posiada, bogata ta rodzina, prezent w postaci samochodu mu sprawiła i jeszcze lekką rączką cło opłacili, różnie przecież bywa, jak się komuś szczęści, to pieniądze same do kieszeni włożą, myślałem więc już nieprzerwanie, cała głowa tym tylko wypełniona, a ta myśl najważniejsza w ubikacji, za przeproszeniem, mi się narodziła, z początku sam siebie wyśmiałem, głupoty takie, ale znów obracam tę myśl, przymierzam, oceniam, wcale to nie głupota żadna, ma ten pomysł ręce i nogi, logiczna sprawa, że tak powiem, tak to narodziło się i w coraz większą realność obrastało, oczywiście nikomu się z tego nie zwierzałem, przesąd w tym pewien, łatwo można rzecz przegadać, a potem nic nie wyjdzie i śmiać się będą, wiadomo, jak ludzie lubią cudze niepowodzenia, wysiłku niemało w to musiałem włożyć, do kogo to pisać, podstawowa trudność, właśnie do kogo pisać, ale uporałem się z tym jakoś, następnie treść listu zacząłem redagować, to była ciężka robota, bardzo ciężka, tak ułożyć, wystylizować, żeby godność zachować, ale zarazem tak jakoś ich podejść, odpowiednio podejść, żadne skomlenia czy prośby przecież, tylko twardo, chłodno, żeby w razie obciachu nie wstydić się, na te akcenty szczególnie położyłem nacisk, bardzo dyplomatyczna robota, z pięć redakcji tego listu pisałem, co napisałem to darłem, ciągle jakaś niezręczność czy pochlebstwo zbyt nachalne wyławiałem, nie pasowało mi to, zniechęcenie chwilami już mnie ogarniało, tak się z tym listem gimnastykowałem, wreszcie szósta redakcja wypadła jako tako, ulga, ale wcale nie koniec na tym, przystąpiłem do jeszcze trudniejszego zadania, trzeba przecież przetłumaczyć, znałem ten język trochę, kawał czasu tam byłem, prawie trzy lata, ale co to była za znajomość, w mowie, owszem, nieźle dawałem sobie radę, ale w piśmie bardzo byłem słabiutki, kupiłem słownik i wieczorami, kiedy żona już spała, tłumaczyłem ten list, harówka okropna, nikogo nie mogłem się poradzić, nikogo przecież nie chciałem w to wtajemniczać, wyszukiwać słowa, układać w zdania, a jeszcze te trudności gramatyczne, składnia i tak dalej, to było konieczne, żeby treść stała się jasna, oczywista, zrozumiała, dwa tygodnie wieczorami ten list tłumaczyłem, żona już coś tak na mnie zaczęła spoglądać, powiedziałem, że mam prace zlecone i mogłem sobie spokojnie nad tym ślęczyć, naprawdę okropna harówka, ten ich język niełatwy, gramatyka skomplikowana, różne przysłowki, przyimki i czasy, reguły i wyjątki, napociłem się nad tym jak galernik jakiś, no i mogłem się nareszcie zabrać do przepisywania na czysto, na maszynie, jasne, bo jakże można inaczej, maszynę pożyczyłem od żony bratanka, dziennikarz czy inny jakiś skryba, ostatnia była to tortura, przepisywanie na maszynie, parę liter przestawisz i trzeba od nowa zaczynać, już cały list przepisany, patrzę, cztery błędy, głupie błędy, wstyd pozostawić, nie wypada przecież, będą się śmiać, prostak, ciemniak, oni nas zawsze za takich mieli, od początku zacząłem przepisywać, żmudne składanie literki do literki, bo z tą cholerną pisownią niemiecką nie mogłem sobie dać rady, a treść tego listu była następująca: Do magistratu miasta Hamburga, Szanowni panowie, pozwalam sobie skreślić do Was te parę słów i poinformować szanownych panów, że przed laty miałem okazję poznać wasze miasto, podczas wojny byłem wywieziony na roboty do Niemiec i znalazłem się w Hamburgu, gdzie zatrudniono mnie w zarządzie miejskim w charakterze czyszciciela ulic, przebywałem w Hamburgu dwa lata i wraz z jego mieszkańcami przeżywałem ciężkie chwile podczas bombardowań miasta, a koniec wojny, z ulgą witany przez znękane narody Europy, zastał mnie w Hamburgu właśnie, po latach najdokuczliwsze wspomnienia zatarły się już w pamięci, nawet te straszne lawiny bomb i nasze prace wśród zgliszcz i pożarów, polegające na wydobywaniu rannych z gruzów i uprzątnięciu trupów, a pozostał przede wszystkim sentyment do tego wielkiego, tętniącego życiem portowego miasta, ciekawy jestem również, jakie oblicze architektoniczne posiada dzisiejszy Hamburg, nadmie-

niam jeszcze, że mimo woli stałem się fachowcem w zakresie problemów higienicznych i porządku skupisk wielkomięjskich i ciekaw jestem, jakimi metodami posługujecie się obecnie przy rozwiązywaniu kwestii oczyszczania miasta, przyjazd do waszego miasta byłyby dla mnie również okazją do odwiedzenia na cmentarzu komunalnym grobów dwóch moich kolegów, również Polaków, pracujących wraz ze mną w ekipie czyścicieli ulic, którzy zginęli podczas bombardowania dywanowego, dokonanego przez amerykańskie superfortece, no i oczywiście na końcu te wszystkie konwencjonalne formułki, pozostają szczerze oddany wasz, i tak dalej, zakleiałem kopertę, zaadresowałem Rathaus, Hamburg, taka i taka Strasse, swoje nazwisko i adres wypisałem drukowanymi literkami na odwrocie, no i tak czekam na odpowiedź, dwa tygodnie minęło, na dniach już powinienem wiedzieć, zaproszą czy nie, a pewnej nocy to obudziłem się z krzykiem, śnił mi się ten Hamburg, istne piekło, tak nas ganiłi po tych gruzach do uprzątnięcia trupów, wszystko dymiło, płonęło, coraz jakieś wybuchy, jęki, krew, jednego kolegę rozerwało na strzępy, ten nasz nadzorca pies taki, tylko pejczem poganiał i ryczał *schnell, schnell, Schweine, polnische Schweine*, nieraz już się przymierzałem, żeby szpadlem ten przeklęty pysk mu rozbić, ale nie było okazji.

1973

SZASZŁYKARNIA

Trzy ścianki z dykty, przykryte papą, w tym wnętrzu kontuar obity plastikowym tworzywem, a za nim ruszt nad ogniem, gdzie obracają się kielbaski. To nowa szaszłykarnia. „Filutek”. Punkt dobry, śródmieście, od rana ruch tutaj niemały. Najlepiej o tym świadczą stopy skrzynek po piwie, piętrzące się za budą.

Godzina była popołudniowa. Podchodzili ludzie do kontuaru i zamawiali po flasce piwa oraz kielbaskę na tekturowym spodeczku. Można i dwa piwa do kielbaski. Ajent nie wzbraniał. Nawet niezły ten ajent, uwijał się zwawo, a dziś nie tylko „Pełne”, ale i „Żywiec” miał na składzie.

– Ładnie się krząta – ktoś uznał.

– A co ma nie – ktoś dodał – ... na swoim pracuje...

Nie znali go jeszcze tutejsi bywalcy, dopiero drugi tydzień, jak nastał. Pleczysty, włosy szpakowate, mocno przerzedzone, z tyłu na przód sobie zaciągnął. Wrzawa już była pod tym daszkiem z papy i ścisk. Opowiadał po trzeciej flasce (ajent go przyzwoicie obsłużył, do jednej kielbaski te trzy flaszki) technik Ozorkiewicz – ...I psiakrew, trochę to mnie gryzie, ale co mogłem zrobić, piękny piesek, foksterierek, nosówka, na to nie ma rady, śluz cieknie i cieknie, a dać do uśpienia nie miałem serca, jeden kolega, do kółka myśliwskiego należy, chciał nawet odstrzał zrobić, ale też serca nie miałem, myślę i myślę, aż wziąłem pieska w torbę. King się wabił, za miasto nad rzekę wywiozłem, niech sam sobie zdycha w przyrodzie... –

Jedni przyznali mu rację. Inni byli przeciwnego zdania.

– Przychodnia jest taka dla zwierzaków – powiedział monter, przezywany Dalij go Jazda – tam wyleczyć potrafią... –

– Na nosówkę nie ma sposobu – uznał pracownik domu meblowego z placu Wolności. – Też miałem pieska – dodał po chwili.

Technik Ozorkiewicz dumiał smętnie. Piwo sączył drobnymi łykami, wielki z niego smakosz.

Najmłodszy z nich, Kazik, zaczął swoje:

– Więc, proszę ja was, wracam do domu, po fajrant robiłem, no i wracam do domu, wchodzi, a ona, znaczy moja baba, w łóżku sobie leży, podchodzę do kuchni, w garnki zaglądam, a tam nic, proszę ja was, puste gary, patrzę ja na nią, ona na mnie i mówi: chora jestem. To ja robię i nigdy jeszcze nie byłem na chorobie, a ona, proszę ja was, nie robi, tylko w domu siedzi i chora, tego już nie wytrzymałem...

Wczoraj to się zdarzyło i bardzo był wzburzony. Czulo się, że przed piwem coś mocniejszego sobie chlapnął. Śmieli się z młodego żonkosia.

– Baba – zażartował konwojent Talarek – tak jest zrobiona, że co miesiąc choruje...

Ale i konwojent Talarek zaraz spowaźniał i tak powiedział:

– Procent ubytków u nas zmniejszyli, kiedyś do trzech litrów było od wozu, prawo stłuczki, czyli jak po osiemdziesiąt odstąpiłeś, to dwieście czterdzieści samo wchodziło do kieszeni...

Konduktor wagonów sypialnych, Bieganek, który przyszedł przed chwilą, odpił piwo do końca i rzekł:

– Na granicy jednego cwaniaka drapnęli, niby gęś sobie wiózł od krewnych, niby jako żarcie na drogę, a tam ponawtykał złota, cały kuper wypchał, posypało się z tego... –

Pracownik domu meblowego westchnął ciężko, a oczy takie zrobił, jakby to złoto miał przed oczyma.

– Podobno... odezwał się technik Ozorkiewicz – w kolejnictwie mają na wódkę nowy sposób... –

– Jaki? – zainteresowali się.

– Dla przykładu, staje pociąg w Skierniewicach i na kielicha masz ochotę, wychylasz się z okna i do tego, co obstukuje koła, zwracasz się uprzejmie, żeby w Łowiczu flaszkę ci obstał, dajesz za fatygę, a on biegnie i dzwoni, dojeżdżasz do Łowicza i już flaszka czeka... –

Konduktor wagonów sypialnych wydał wzgardliwie usta.

– Są jeszcze lepsze sposoby – ale nie powiedział, jakie.

Pracownik domu meblowego z placu Wolności starannie wydziobał z tekturki kielbasę, ostatni łyk piwa wysączył.

– A jak tam u ciebie? – spytał go konwojent Talarek.

Wzruszył ramionami. Starszy człowiek, milkliwy taki. Tyle czasu już go znają, a nawet nie wiedzą, jak mu na imię.

– Pomału leci... – odpowiedział po długiej chwili. Popatrzył na pustą flaszkę, popatrzył na zatuszczony, tekturowy spodeczek. Do kontuaru się podsunął.

– Panie kierowniku... – wygrzebał z kieszeni drobniaki – jeszcze jedno piwo... –

Ajent krótko na niego spojrział.

– Piwo podajemy do kielbaski.

– Brałem już kielbasę – odpowiada pracownik domu meblowego i na dowód prawdy tekturkę z patykiem pokazuje.

Ajent znowu na niego popatrzył.

– No, panie kierowniku... – poprosił ten z domu meblowego.

Ajent głową pokręcił.

– Nie ma – mówi.

– Przecież brałem – powtarza tamten i na ludzi patrzy. – No nie? – swoją tekturkę po kielbasce do góry unosi. Ale ludzie milczą.

– Dla mnie nie brałeś pan – odpowiada ajent i tyłem się odwraca.

Ten z domu meblowego czapkę w dłoniach miętosi. A ajent kręci kielbaski na drutach.

Ten z domu meblowego czapkę coraz bardziej miętosi.

– Jak tu takie porządki, to ja idę na milicję... – wykrztusił.

Ajent odwrócił się.

– Na milicję? – uśmiechnął się krzywo.

Też już zły, głową gwałtownie poruszył, te włosy, co z tyłu na przód pożyczął, zsunęły mu się na bok.

I pochylił się nad kontuarem. Pałę białą stamtąd wyciągnął. Ten z domu meblowego cofnął się wtedy i ręce przed siebie wyciągnął, zasłonił się nimi odruchowo. Ajent zachichotał.

Ten z domu meblowego popatrzył na pałę, a potem na butelki z piwem, co stały rzędem na kontuarze. Grdyka skakała mu śmiesznie. Głowę zaraz opuścił.

– No i jak? – pyta go ajent.

Ten z domu meblowego do wyjścia zaczął się przeciskać. Parzyli za nim ludzie. A on tych spojrzeń unikał.

– Szybko się załamał – zauważył konwojent Talarek. – Ja tam bym nie ustąpił... –

– A może na milicję poszedł... – zastanowił się technik Ozorkiewicz.

– Skąd! – odparł konwojent Talarek. – Nie ma serca do walki chłopina... –

– Pewnie ormowiec – wyraził szeptem przekonanie o ajencie konduktor wagonów sypialnych.

– Po mojemu – orzekł najmłodszy z nich, Kaziak – ta pała była podrobiona... Milicyjne inaczej wyglądają.

– Taka pała może się przydać – dodał Dalij go Jazda. – Niektórzy rozrabiają...

Przytaknęli. Patrzyli na kiełbaski wolno obracające się na drutach, tłuszcz po nich ściekał i błyszczały krwiście.

– Sen miałem taki... – przypomniał sobie technik Ozorkiewicz – idę, idę, a nogami ruszyć nie mogę... –

1976

PAŹ KRÓLOWEJ

Schwytano go w starej cegielni. Spał w kominie, zwinięty w kłębek jak kot. Próbował dra-
pać i gryźć, ale na nic to się nie zdało. Zakuli go w kajdanki. Był pewien, że ktoś naprowadził
na jego trop.

– Cwel albo Kapuś – rzekł. – Miki nie miał dla nich litości. Cwel to nie człowiek... Fakt. –

Oto stał przed prokuratorem. Ślady sadzy z komina na jego kwiecistej, jaskrawej koszuli i
jadowicie fioletowych spodniach. Długie włosy koloru pszenicznego też przydymione.

Był spokojny, tylko oczy posępne, chwilami nienawistne. Opuszczał wtedy powieki, żeby
ukryć złe błyski. Rzęsy miał jak dziewczęce, a na powiekach siniały tatuaże starannie wykali-
grafowane.

Konwojent na polecenie prokuratora uwolnił jego dłonie z metalowych obrączek. Przegu-
by miał drobno posiekane żyłką.

– Razem z Mikim się pochlastaliśmy. Miki spytał: Nie pękasz... I ciach, ciach. –

Zaczęły padać suche, ściśle pytania do protokołu.

– Nazwisko?

Opowiedział.

Palce protokolantki szybko uderzały w klawisze maszyny.

Pytanie: – Pseudonim?

– Co? – zapytał.

Powtórne pytanie: – Pseudonim, czyli ksywa?

Uśmiechnął się niespodzianie, miał białe, zdrowe zęby.

– Zna pan prokurator nasze słowa... Więc – zawahał się – wołali na mnie Spreżyna.

Prokurator poczęstował go papierosem.

Palił chciwie, arezntanckim sposobem osłaniając papierosa w dłoni.

– Na papierosy – sprostował delikatnie – mówi się szlugi. – Nie ukrywał niczego.

Zaczął – Jestem trzeci...

Był trzeci w kolejce. Kolejka była do kobiety. Wydarzyło się to w noc świętojańską. Po-
pijali pod płotem starej cegielni. Początkowo w pięciu. Potem tylko trzech ich pozostało.
Mieli kociołek, rozpalili ognisko i podgrzewali wino patykiem pisane. Przechodziła sąsiadka
z mężem. Stara baba. Czterdzieści lat. Czy ładna? Skąd! Taki tam suchodupiec. Zaprosili.
Sąsiadka zgodziła się chętnie. Jej mąż też. Razem popijali. Pierwszy wysiadł mąż sąsiadki.
Zachłanny na wino. Nażłopał się i padł. Ona tylko się śmiała. Też zdrowo ciągnęła. Zaczęła
się kręcić, poprawiać kieckę, wysoko pokazywała nogi. Mąż chrapał w trawie. Poradzili, żeby
do domu go zabrała. Ale ona nie chciała wracać.

– W domu – mówi – tylko umierają ludzie.

Kieckę coraz wyżej podgarniała i wszystko tam między nogami widać. Stara baba. Jej syn
ich kumpel. W wojsku służy. Tak to wyglądało. Aha. Jeszcze ona mówi – Co tak siedzimy i
nic? – Więc pierwszy zabrał się do niej Miki. Na niego ona najbardziej leciała.

– Przez grzeczność nie odmówię pani sąsiadce – powiedział Miki.

Zgrywus. Taki zawsze był. Ona zadowolona. Tylko stękała. Potem Stasiu Gała. Też stę-
kała. I on wreszcie. Trochę się opierała. Ale byle jak.

– Daj spokój, daj spokój – a nogi trzymała szeroko. Czy ciągle zadowolona? Nie wiadomo. Wszyscy winem oćpani. Czy widział ktoś? Mógł. Ulica blisko, latarnia. Dobrze oświetlone miejsce.

Trzy dni minęło od tej nocy świętojańskiej. Czwartego dnia przyszła ta stara baba do Miki.

– Zgwałcona zostałam – mówi.

Miki w śmiech.

– Sama chciałaś. –

– Ludzie mnie palcami wytykają – ona na to – chłop katuje.

– Co robić – Miki mówi – wińsko nas rozebrało. – I patrzy na nią. Stara baba. Aż mu wstyd, że z nią to robił.

A ona tak – Trzech was było, po tysiąc wypada od łebka, tyle należy mi się. –

– Skąd wziąć tyle floty! – przestraszył się Miki.

– Trzy patyki – powtórzyła – albo idę na milicję. –

Zdenerwował się Miki.

– Szmato! – mówi. – Za patyka to mógłbym najlepsze dziwki w „Ratuszowej”!

Poszła sobie. Zebrali się we trójkę i myślą, co tu robić. Rozglądać się zaczęli za pieniędzmi. Próbowali rozbić kiosk, ale nie wyszło. On babce spod poduszki wyciągnął woreczek. Ale co tam było. Trzysta złotych. Kombinował na pijakach, co nocą z knajpy przy dworcu wylażą jak wszy i w krzakach rzygają. Głosy przeważnie z tych pijaków. Zegarek jednemu zerwali. Tysiąc złotych uzbierali ledwie. Targować się zaczęli z tą starą babą. Ona nic nie chciała opuścić. Przy mężu to było. On już zmiękł. Ona nie. Wtedy pić zaczęli. Wszystko przepili. W „Ratuszowej” najlepsze dania, winiak w koszyku, a później plener. To już był wieczór. Przypomniał sobie, że babcia prosiła go o lekarstwo z apteki. Miał kwit. Zawsze dobrze z babcią żył. Charakterna jego babcia. Więc polecał. Jeszcze do Mikię rękę wyciąga. A Miki mówi – Lepiej się witać niż żegnać. – Miał rację. Taki jest zwyczaj. Miki i Stasiu Gała zostali. Butelka patykami pisanego wina przy nich.

I rano właśnie zrobił się wielki szum w miasteczku. Przyjechali z wojewódzkiej komendy, gliniarze z psami, pogotowie, fotograf. Oni, Miki i Stasiu Gała, powiesili się na tym największym drzewie, podobno bardzo starożytnym. Przed ratuszem to drzewo rośnie. Ogrodzone kolczastym drutem, żeby na pniu nie pisać i kory nie wycinać. Tak na gałęziach wisieli Miki i Stachu Gała. On ich nie widział już. Tylko, jak na noszach, prześcieradłami okrytych do karetki wnosili.

Nocny stróż magazynu GS-u, Suszek, mówił, że słyszał. Jeden drugiego pytał: – Kto pierwszy? – Tak mówił nocny stróż. I gałęzie na tym drzewie trzeszczały. Ale czy to prawda, wiecznie zaprawiony ten Suszek, zdawać mu się mogło. On sam obudził się tej nocy. Szczekały psy. Szczekanie psów obudziło go właśnie. Dobrze pamięta. Wtedy może Miki i Stasiu Gała... Może. Przez cały dzień ludzie na to drzewo patrzyli. Kobiety płakały. Matka Mikię zemdlała. Wtedy to przysięgł Mikiemu. Na wolność, największe zakłęcie. Przygotował sobie żyletkę, taką prawidłowo w olów oprawioną i za tą starą babą zaczął zglądać. Trzy dni czatował. Ona wcale nie wychodziła z chałupy. Aż wreszcie czwartego dnia. Słyszysz. Człap, człap. Patrzy. Ona!

Przerwał opowieść. Odetchnął głęboko i przymknął oczy. Powieki opuszczone i misternie wytatuowane motylki widać w całej krasie.

Młoda protokolantka wpatrzyła się w niego z napięciem. Padło pytanie prokuratora: przyznaje się więc, że napadł na Marię K. i żyletką pokaleczył jej twarz i pozbawił jednego oka.

Zamiast odpowiedzi wykonał zamaszty ruch ręką. Konwojent poderwał się do niego.

Zaśmiał się ubawiony czujnością konwojenta.

Powiedział – I tak była paskudna, ale teraz to nawet pies ją nie będzie chciał. –

Młoda protokolantka ciągle wpatrzona w niego. Nawet stuknąć na maszynie przestała. Motylki na jego powiekach jakby wirowały leciutko. Wreszcie ocknęła się i przyspieszona seria uderzeń w klawisze.

Pytanie: Czy żałuje tego, co się stało?

Odpowiedział bez namysłu: – Pewnie.

Pytanie: Konkretnie czego?

Odpowiedź: – Tylko jednego... Że nie zrobiłem tak jak Miki. My zawsze razem. To i teraz... –

Prokurator zachnął się. Na chwilę porzucił zimną, bezosobową rzeczowość.

Powiedział: – Bzdury! Czy wiesz, co to znaczy życie ludzkie? – Zastanów się.

Odpowiedział spokojnie, patrząc w oczy rozmówcy: – Nie ma tu się nad czym zastanawiać. Zgred tylko raz tak, a raz nie, i ani się obejrzy, do piachu chlup! Niczego nie zdąży zrobić.

Znowu zapatrzenie młodej protokolantki. Dziwne takie. Czyżby rozważała jego słowa? Prokurator sięgnął po papierosa. Czterdziestoletni, łysawy. Obracał w palcach papierosa, odłożył.

Pytanie: Więc zdaje sobie sprawę, że ponieważ wina jest oczywista, kara również będzie odpowiednio surowa?

W tym momencie poderwał się z krzesła, przykulił i nie wiadomo skąd wydobyl skrawek żyłki.

– Nie będziecie mnie mieli! – krzyknął przenikliwie. – Za Boga nie! –

Rozerwał koszulę i sinym ostrzem dotykał już chudej, węzłastej szyi.

Młoda protokolantka zasłoniła oczy. Ale konwojent miał również szybki refleks. Wykręcił mu rękę i przygwoździł całym ciężarem swego ciała do ściany.

Był bezsilny. Skręcał się cały i dygotał. Jak sprężyna. Przymknął oczy. Wachlarze długich rzęs i misternie wytatuowane motylki na powiekach. Paż królowej. Rozplakał się.

1975

MÓJ PRZYJACIEL PISARZ

Ten pisarz był wspaniałym człowiekiem. A to nowe, co pojawiło się w tamtych latach w literaturze, przyjmował jak kruche, wymagające czulej opieki rośliny. Zostałem przez niego wyróżniony. Moja dziewczyna również odgrywała ważną rolę. Wierzyła we mnie. W swoim pisaniu nie czułem się samotny i ośmieszony. Śmieszności obawiałem się najbardziej. Więc nie peszyłem się wcale, kiedy kumple spod gołębnika Jędrka Kozy pytali:

– Szrajbujesz coś?

Był to czas idylliczny. Młodości i początku. Nawet ból zęba, który ropą gromadzącą się pod korzeniem rozsadzał głowę, nie przeszkadzał w niczym. Siedzieliśmy w gospodzie. Pisarz mówił o moim opowiadaniu *Ożenili*. Podobało mu się. Nikt jeszcze nigdy tak nie mówił o moim pisaniu. Moja dziewczyna słuchała z chciwą uwagą. Jak on to potrafił mówić! Wnikliwa analiza tekstu w długich i krótkich zdaniach, gdzie słyszało się wszystkie nawiasy, słowa wybite tłustym drukiem, wielokropki, niedomówienia. Niezwykłe! Zamówiłem butelkę. Sewek, który siedział po drugiej stronie stołu, nalewał. Jego gruba, włochata dłoń ozdobiona tatuażem nieomylnie odmierzała alkohol do szklanek. Wtedy, w to niedzielne popołudnie, niczego mi nie brakowało. Wódka, moje przedmieście, kumple przy sąsiednich stołach, dziewczyna ładna i oddana, opowiadanie napisane kilka dni temu i człowiek z nieznanego, dopiero co odkrywanego świata sztuki, tak odmienny od wszystkich dotąd znanych, delikatny, pełen wiary, mądry i przyjacielski. Sewek patrzył na moją dziewczynę i pisarza nieruchomym, ciężkim spojrzeniem. Miał takie oczy jak kamienie. Nie mrużyły się i były bez żadnego blasku. Dziewczyna i pisarz spieszyli się nieco.

– Czy to córka tego starego? – zapytał Sewek.

Pisarz miał młodą twarz, lecz był zupełnie siwy. Zaprzeczyłem.

Sewek znów milczał. Potem nagle opowiedział, jak wypił litr wódki pod zakład. Przez kwadrans po wypiciu miał poruszać się równym, trzeźwym krokiem. Taki zakład.

– I wytrzymałem dwadzieścia minut – zakończył Sewek. – Dopiero padłem.

Stuknął palcem w pustą butelkę. Chciał jeszcze wódki. Ja też. Moja dziewczyna sprzeciwiła się stanowczo.

– Ten siwy – rzekł z goryczą Sewek – wygląda na nadzianego.

Odprowadził nas cieniłą aleją wśród kasztanów. Sewek nie miał do ludzi sentymentu. Interesowały go jedynie zegarki na przegubach ich dłoni, które zrywał jednym pociągnięciem, i kieszenie, gdzie trzymali swoje pieniądze. Polował na pijaczków pod gospodą. Żył z żoną Była. To znaczy obaj żyli z tą Jadźką. Chodzili zgodnie trójką do gospody i kiedy Bolo siedział w pudle, to Sewek mieszkał u niej jak mąż. Obaj z Byłem rośli, pleczyści, o szerokich twarzach ozdobionych puszystymi bakami. Podobni. A ona sucha, żyleta.

– Niebypałe – powiedział pisarz. – Ten twój świat... Jak fascynująco o nim opowiadasz... Pisać też tak samo zaczynasz...

Spojrzałem na niego podejrzliwie. Oczy miał intensywnie niebieskie i wydatne, mięsiste wargi.

– To jest właśnie talent – zakończył.

U skraju kasztanowej ulicy pozostał Sewek. Nieruchomy, wsparty o drzewo. Wyczekujący.

„Talent” – słowo to posiadało dla mnie skrzydła.

Moje przedmieście wypiękniało w oczach. Drewniane rudery i gołębniki. Okopcony komin fabryki „Polo”. Ludzie w bramach. Glinianki zarosłe trzcina. Być wiernym swemu pragnieniu i opisać to wszystko, szaro, boleśnie i porażająco. Niech ci, co czytać będą, poczują siłę elektrycznym dreszczem przenikającą moje pisanie.

Pisałem wtedy pierwsze opowiadania. Moja dziewczyna przepisywała na starej, rozklekotanej maszynie typu „Erika”. Rwała się taśma, kiepsko wychodziła nam interpunkcja i krzywym ściegiem snuł się maczek liter. Korzystaliśmy z wolnego gabinetu robót ręcznych w szkole mojego ojca. Podglądał nas woźny Żalimas. Kręcił głową i szeptał coś ojcu. Ojciec uśmiechał się dobrotliwie.

Świat sztuki stawał się coraz bliższy i czułem się już członkiem tego bractwa, które spaja gorąca nadzieja utrwalenia uchodzącego czasu, co tak szybko zmienia się w popiół i ulega zapomnieniu. Choćby ta niedziela pełna słońca i błękitu, kiedy przyjechał na obiad do naszego domu kolega siostry ze studiów, barczysty mężczyzna o złocistej czuprynie, wspierający się na kulach. Fascynował siostrę swą męską urodą i mroczną biografią. Przesiedział na syberyjskim zesłaniu siedem lat i pięknie śpiewał. Po deserze wyszliśmy na taras i ojciec poprosił go o śpiew. Nie dał się długo prosić i z tarasu na naszą cichą uliczkę buchnęła włoska aria, a po niej tęskne, rosyjskie pieśni, których nauczył się na zesłaniu.

– Wspaniale! – powiedział pan Wilczyński, zgorzkniały wdowiec mieszkający w kamienicy naprzeciw, który po tym występie wychylił się z okna i długo klaskał w dłonie.

Zostałem pisarzem. Sewek poszedł do więzienia. W gospodzie rozprawiano o jego ostatnim wyczynie. Młodzi słuchali z błyszczącymi oczyma. Natomiast ja byłem już pogrążony w innych fascynacjach. Mój protektor i przewodnik, ten znany pisarz o młodej twarzy i siwych włosach, poznał mnie z wieloma ciekawymi ludźmi, artystami teatru i filmu, malarzami, pisarzami. Wśród nich wyróżniał się smukły, długonogi mężczyzna o wąskiej, rasowej twarzy. Chodził w wytartych farmerskich spodniach i potrafił wygrywać egzotyczne melodie na indyjskich piszczałkach. Był z tego pokolenia, które otrzymało swój chrzest bojowy w powstaniu warszawskim. Z tamtych lat posiadał *Virtuti Militari* i ciągle żywe uznanie dawnych towarzyszy broni. Teraz nie wierzył w nic i wszystko potrafił obrócić w niwecz celnym szyderstwem. Wydawał mi się w swej abnegacji i cynizmie wyzwolonym człowiekiem. Szalały za nim piękne kobiety, a on czarował błyskotliwą, absurdalną sztuką konwersacji i erudycją w wielu dziedzinach. Nie dziwił się niczemu i był dobrym kompanem w spacerach po knajpach na moim przedmieściu. Wkrótce przyszły na niego czasy sławy. Był tym drugim obok Zbyszka Cybulskiego w *Popiele i diamencie*.

Tak bardzo pochłonięty pisaniem i życiem w kręgu artystów, nie zapomniałem jednak o moim przedmieściu. Tam były moje korzenie. To wiedziałem od początku. Sewek znów był na wolności. Nadał miewał kłopoty z prawem i moja dziewczyna pisała mu rozmaite odwołania.

Przesiadywałem nad glinianką z Benkiem i słuchałem jego niezrównanych opowieści. Benek stał się niebawem tytułem drugiej mojej książki. Ten znany pisarz, który został moim przyjacielem, bywał niekiedy w domu moich rodziców na uroczystych obiadach, lubiany za czar osobisty i skromne, bezpośrednie zachowanie. Matkę urzekały najbardziej jego poobiednie drzemki.

– Czuje się jak u siebie... – powiadała szeptem. – Popatrzcie!

A ponieważ pisarz był kawalerem, widział go nawet mężem swojej siostry Anieli, która była panną. Ja i moja dziewczyna uśmiechaliśmy się wtedy, skrywając ten uśmiech pod dłońmi.

W życiu mojego przyjaciela pisarza najważniejsza stała się Bułgaria i to miasto o tureckiej architekturze z meczetem i kafejkami, przesmykiem wdzierające się w morze. Tam poznał chłopaka o śniadej twarzy i wilgotnych południowych oczach. Marzył zachłannie o nim, bo-

jąc się jednocześnie ujawnienia swego uczucia. Wtedy już zwierzał mi się ze swych bolesnych, zatajonych spraw i to zaufanie stało się miarą naszej przyjaźni. Zaprosił tego południowego chłopaka do Polski. Obwoził go po kurortach i obsypywał prezentami. Był to pobyt młodego maharadzy. A mój przyjaciel pisarz twarz miał coraz bardziej znużoną i oczy jego nie miały już dawnego blasku.

Pamiętam ten wieczór w jego mieszkaniu (z okna widać było chmurne niebo i wieże pobliskiego kościoła), kiedy opowiedział o swojej przygodzie z żołnierzami na przepustce. Był podпиты, a oni ładni, wsiowi chłopcy. Stawiał im i coraz śmielsze stawało się pragnienie męskiego ciała. Wtedy dostał cegłą. Odzyskał przytomność nocą, porzucony w zaroślach i bez pieniędzy. Mówił o tym, a jego oczy miały wyraz zaszczutego zwierzęcia. Brzydili go cyniczni łowcy męskich ciał za pieniądze. Piękny, południowy młodzieniec znad Czarnego Morza był ideałem miłosnych jego pragnień i tak bardzo chciał wzajemności.

Męczył się ukrzyżowany na tych sprzecznościach nie do pogodzenia i czasem jego głos stawał się szorstki jak rzemień, usta twarde, złe. Był zmęczony tym najgorszym zmęczeniem człowieka, co ukrywa prawdę przed samym sobą.

Czas wtedy nadchodził zły i ludzie, którzy godzili się dotąd na różnice w poglądach, stawali się coraz mniej tolerancyjni, zaciekli. Mój przyjaciel pisarz lubiany był przez dostojników kierujących życiem tego kraju. Podziwiali go za mowę miódopłynną, kunsztowną jak wypieszczone stronicie poetyckiej prozy i zapraszali do książęcych pałaców, które zmieniły swoje przeznaczenie służąc do wypoczynku rządowej elicie. Może ci brzuchaci, gorzałą nąćpani wielmoże wyczuwali instynktownie jego skłonności? Może wyobrażali sobie, że oni, te beki pełne gnoju, są przedmiotem jego adoracji?

Słyszał tam pijackie rozmowy przy biesiadnych stołach. Zło, nienawiść i głupota znów brały górę. Przerazały go te rozmowy. Na nic zdawał się jego dar niezwykle godzenia sprzeczności. Delikatna, aluzyjna proza, którą władał po mistrzowsku, ginęła we wrzasku ordynarnym i zaciekłym, gdzie nie było miejsca na wątpliwości, szlachetne rozterki czy wahanie. Te gęby prostackie, czerwone i zaciętrzewione... Ciemny bełkot nienawiści, co buchał z ich ust... Zobaczył nagle, jak trzeszczy i zawala się ta fikcyjna arka przymierza, w której starał się dotąd żyć. Wiało coraz mocniej smrodliwym podmuchem.

Kulminacyjną rolę w mojej pamięci odgrywają imieniny młodego adepta literatury w restauracji za miastem. Kolorowa markiza dająca błogi cień i lipy szumiące w lekkim wietrze. Piknikowy nastrój. Wtedy zwierzył się pisarz swoim przyjaciółom. Mówił o tej wilczej zaciekłości. A kończył już po omacku i bez zwykłej swojej swady. Wywodził o jakimś złotym środku, który jak balsam zaleczy ropiejące rany i pogodzi wojujące strony. Aż zabrał głos biegły w argumentacji profesor filozofii, który był wschodzącą gwiazdą tej korony nauk.

– Jak masz do wyboru kawę albo herbatę – powiedział – to nie możesz prosić o mazagran.

Po tym zapanowało milczenie. W filozofa z uwielbieniem wpatrywała się śliczna dziewczyna, jego studentka.

Mój przyjaciel pisarz nic nie odpowiedział. Patrzyłem na niego ukradkiem. Ostanie słowo należało do filozofa o kościstej twarzy z wysuniętą szczęką, który budował zdania precyzyjnie, krótko, jak matematyk swoje równia.

Byłem już dojrzały. Wiedziałem, że sztuka to nie żadna lekkość i bajeczna kraina uniesień, ale ciężka harówka, gdzie najważniejsza jest uczciwość wobec siebie i mozolne przedzieranie się przez gąszcz kłamliwych słów w poszukiwaniu tego jednego, jedyne, które przylega do rzeczy jak skóra do ciała.

Zły czas, który przeczuwał mój przyjaciel pisarz, nie ominął również długonogiego mężczyzny o wąskiej, rasowej twarzy. Gdzieś go osaczono. Do czegoś został przymuszony. Jego dumną, niezależną duszą zawładnęła tajna policja. I dzięki jego zeznaniom posadzono na kilka lat jego przyjaciela, z którym prowadził finezyjne rozmowy o kosmogonii Kanta i słuchał koncertów Bacha. Odtąd naznaczony został piętnem donosiciela. Parzyło go to. Spowiadał się

przyjaciołom. Pragnął od nich rozgrzeszenia. Milczeli. Miotał się między samopotępieniem i nienawiścią. Złorzeczył i szukał zapomnienia w kamiennym chłodzie kościołów. Byłem na jego bierzmowaniu. Wielką wagę przywiązywał do tego obrzędu.

– W tym samym kościele, gdzie byłem chrzczony – podkreślał z naciskiem – u Aleksandra.

Tak oto życie wepchnęło go w mrok szaleństwa. W coraz krótszych odsłonach jasności czytał tomistów i jeździł rowerem. Pamiętam spotkanie z nim w pewien jesienny poranek, pod rachitycznym drzewkiem, które wyrastało z płyt chodnika. Jechał rowerem. Twarz miał opuchniętą, a oczy niesamowite.

– Jestem zmęczony – powiedział. – Ścigali mnie nocą... po dachach... Ta szajka, wiesz? Przytaknąłem.

Też już bywałem chwilami bardzo zmęczony i w głowie roilo mi się od sprzeczności. Uciekałem na swoje przedmieście. Siadywaliśmy z kumplami nad glinianką. Myślałem o tych siłach ciemnych i nieczystych, co tak nagle rujnują człowieka. Wódka wywoływała we mnie potrzebę zwierzeń. Benek słuchał ze zrozumieniem. Rok już minął, jak zgodził się być tytułem drugiej mojej książki.

A wszystko skończyło się nagle i nieodwołalnie. Zadzwonili do mnie o świcie.

– Przyjedź!

Pojechałem. Mój przyjaciel pisarz leżał w łóżku. Nie żył. Twarz miał spokojną, gładką, a na nocnym stoliku pusta fiolka po barbituratach. Potem przyszli ci z Muzeum Literatury. Zabrali jego pamiętniki. Sześć grubych kalendarzy zapisanych gęstym maczkiem. Dyrektor Muzeum, wysoki, chudy, z wielkim nosem, czarno ubrany, wspierał się na parasolu, pachniał wódką i śmiał się tubalnym, mechanicznym śmiechem. Gosposia pisarza płakała. Moja dziewczyna też. Pomyślałem o tym pięknym Bułgarze, którego pokochał pisarz.

– Pan był taki dobry... – powtarzała gosposia.

Rozwiał się wszystko jak dym. W tamto lato glinianka stała się moim azylem. Tam próbowałem uporządkować chaos, który ogarniał zewsząd. Sewek siedział z nieruchomą twarzą. Oczy miał też nieruchome. Benek patrzył na Sewka z niechęcią i powtarzał:

– Złodzieje to jedno wielkie barachło!

Sewek chichotał.

– Pamiętasz tego siwego, co wódkę z nami kiedyś pił w gospodzie? – zapytałem Sewka.

Sewek już nie pamiętał. Benek zaczął opowiadać o swoich zwidach. Z nadmiaru alkoholu prześladowały go nietoperze i ciągle wynurzała się ręka uzbrojona w nóż.

– Głowy nie masz do gorzały – stwierdził obojętnie Sewek.

Pisałem nadal, ale ludzie, których chciałem opisać, wymykali się jasnej ocenie. Tacy byli niejednoznaczni, tak mienili się jak kameleony. Rozglądałem się po omacku, poszukując klarownej skali wartości i człowieka wspaniałego, który byłby moim wzorem.

Ciemno. Idę martwymi uliczkami mojego przedmieścia. Sewek czai się pod gospodą. Jest samotny. Było umarł w więziennym szpitalu, a Jadzka wyjechała na zachód.

– A, to ty! – mamrocze zawiedziony Sewek i znowu nieruchomieje za pniem w drapieżnym, ciężkim wyczekiwaniu.

– Gdzie są moje korzenie? – powiedziałem nagle w ciemność.

Poczułem się bezradny i opuszczony.

Dlatego postanowiłem napisać o tym pisarzu, który był moim przyjacielem.

PIERWSZE BOJE

Mieliśmy szkopał. Ja i Redaktor. Jemu opowiadanie się spodobało i chciał drukować. Dla mnie to była nobilitacja: druk w najpoważniejszym miesięczniku literackim stolicy.

Szpalty korekty cieszyły moje oko. Były w trzech egzemplarzach. Jeden wrócił z cenzury.

Redaktor osadził papierosa w szklanej lufce. Długi czas nie zapalał i dumał.

Patrzyłem smętnie w długie paski korektorskiego składu.

Rzecz dotyczyła ucieczki starców z domu spokojnej starości. Nocą przywieziono tam trumny ze spółdzielni stolarskiej, specjalizującej się w wyrobie tego asortymentu. Starcy mają płytki sen i bez trudu odkryli przyczynę nocnego hałasu. Popadli w panikę.

– Będą wykańczać! – przekazywali sobie złowróżbną wiadomość.

Już to sformułowanie spowodowało wykrzyknik cenzora. Ale miarę jego cierpliwości przebrała ucieczka starców i pogoń za nimi. Ściagała ich milicja.

– Absolutnie nie zgadzają się na milicję – rzekł Redaktor i dodał, iż wcale nie przekonał ich argument o humanitarnych względach pościgu. Wczesna wiosna wtedy i chodziło przecie o zdrowie obozujących w plenerze uciekinierów.

– Dopatrują się w tym szyderstwa w szerszym aspekcie.

Decyzja cenzora oznaczała dla mnie koniec nadziei na druk opowiadania.

Nagle zgaszone dotąd i apatyczne oczy Redaktora rozbłysły intensywnie. Zapalił wreszcie papierosa.

Zaciągnął się kilka razy.

– Eureka! – wykrzyknął.

Pochylił się nad tekstem.

– A gdyby tak... dajmy na to... – przeciągał słowa – milicję zamienić na straż pożarną. Niech ścigają ich strażacy!

Popatrzyłem na niego zaskoczony.

On już ołówkiem zaczął wyławiać z korekty milicjantów i zamieniać ich na strażaków.

– Popatrz! – mówił. – To nabiera jeszcze bardziej przewrotnego znaczenia. Wyrobiony czytelnik natychmiast skojarzy, o kogo chodzi w istocie. Kamuflaż wzmocni wymowę tekstu. Zresztą zostawimy tu i tam pewne drobiazgi nie pozostawiające wątpliwości.

Wahałem się czy przystać na taką kosmetykę. Ale bardzo pragnąłem, żeby opowiadanie ujrzę światło dzienne. Zgodziłem się więc.

Wtedy Redaktor ze strażakami, którzy zluźowali ze wszystkich posterunków milicjantów, pobiegl z powrotem do cenzury.

Wrócił rozpromieniony.

– Przechytrzyliśmy ich! – obwieścił w drzwiach, potrząsając paskami szpalt.

Sam uwierzyłem w mocniejszą wymowę tekstu i czytając na spotkaniach z czytelnikami fragmenty opowiadania, akcentowałem z naciskiem słowo „strażak” w różnych odmianach i wariantach sytuacyjnych. Słuchacze na ogół odczytywali bezbłędnie intencję kamuflażu i wyrażali uznanie. Tylko raz pewien młody człowiek powiedział:

– Ja tego nie rozumiem. Dlaczego strażacy? To zupełnie bezsensowne.

Nie dał się przekonać.

W jakiś czas potem wystąpił problem „ruskiego anioła”. W opowiadaniu *Gdzie jest droga na Walne?* ktoś użył tego przezwiska popularnego wśród włościan byłego zaboru rosyjskiego.

Czerwony ołówek cenzora grubą kreską otoczył te dwa słowa.

I wtedy ja (z latami stałem się biegłym w sztuce mimikry szermierzem) powiedziałem bez namysłu:

– Zastąpimy go tureckim aniołem.

Był to zupełny absurd i liczyłem na to, że wnikliwy czytelnik domyśli się z kontekstu ingerencji cenzora. Poszedł w świat turecki anioł, czyli Orient w wydaniu mazowieckim.

Niebawem doszedł jeszcze eks-komendant. Pierwotnie jedną z osób zasiadających przy biesiadnym stole w opowiadaniu *Wesele raz jeszcze* miał być komendant gminnego posterunku MO. Cenzura zaproponowała, żeby aktualnie nie pełnił on jednak tej funkcji. Do galerii osób zamienionych przyłączył się zły człowiek. Miał to być Rosjanin (wcale nie z powodu fobii antyrosyjskiej, ale taka była logika tego, co pisałem). Zamieniony został na Niemca.

– Rzecz zupełnie neutralna – rozproszył moje rozterki kierownik działu literackiego tygodnika, w którym chciałem utwór publikować. – Niemiec, Anglik, Francuz, Rosjanin. Wszystko jedno. Chodzi przecież o człowieka w ogóle, bez względu na nację.

Na marginesie wspomnę jeszcze o partyjnym kombinatorze, który zamienił się w bezpartyjnego kombinatora. Jednak o ile w pierwszej wersji wydawał się postacią krwistą, dynamiczną, to po odebraniu mu partyjnej legitymacji stał się manekinem.

Bywały także usuwane fragmenty opisów, dialogi.

Zdanie – *Wszyscy czekają!* – dotyczące wzburzenia społeczności małego miasteczka, oczekującej daremnie sprawiedliwego osądzenia wszechwładnej kliki, która opanowała tamtejsze życie – uległo bezwarunkowej kastracji.

– Nie ma się o co upierać! – orzekł doświadczony kolega pisarz. – Brzmi zbyt metaforycznie. Odczytać mogą jako uogólnienie dotyczące całości, rozumiesz?

Miał rację. Wytropili to zdanie. Poszło na złom.

Aż przyszedł taki dzień. Siedzieliśmy po dwóch stronach biurka. Redaktor i ja. Na biurku moje opowiadanie *Mongoły*. Obrazek z okupacyjnego dzieciństwa, opisana egzotyczna formacja skośnookich Turkmenów czy Uzbeków, służyli w niemieckim wojsku.

Redaktor nawet nie chciał posłać tego do cenzury.

– Po co? – rzekł gniewnie. – Te *Mongoły* to ludzie radzieccy, tak?

Pokiwałem głową.

– Uciekli z Czerwonej Armii, tak?

Znow ruch mojej głowy.

– Poszli za Hitlerem mając nadzieję na swą niepodległość, tak?

Już nie chciało mi się kiwać głową.

Wywód Redaktora był tak oczywisty. Uzasadniał nierealność wszelkich starań o druk.

– Chyba że... – zawahał się – zmienimy czas, miejsce, wszystko...

Ale nie podjął tego wątku.

– Bzdura!

Opowiadanie w jakiś sposób było mu bliskie. Dzieciństwo miał okupacyjne i pamiętał różnych *Mongołów*, *własowców*, *Kałmuków* i *Kozaków*.

Sięgnął do szafki za sobą. Wyciągnął czterogwiazdkowy koniak *Ararat* i kieliszki.

– Głową muru nie przebijesz – powiedział.

A w mojej głowie załagał się natrętny pomysł – gdyby tak zamienić tych *Mongołów* na *Gurków* służących w brytyjskiej armii kolonialnej?

– Przyjdzie czas i rozliczymy was! – tak mówił jeden dygnitarz niższego szczebla do drugiego wyższego szczebla. Z jakiegoś mojego opowiadania. Nie pamiętałem tytułu. Też zostało usunięte. Dlaczego to mi się przypomniało? Redaktor napełnił kieliszki.

OPOWIADANIA KRÓTKIE

KAT

Zapytano kata, dlaczego to robi. Odpowiedział bez wahania – Ktoś musi to robić!
Westchnął. Dawał do zrozumienia, że poświęcił się dla ogólnego dobra.

Popatrzył z niepokojem. Bał się, czy pytający nie zechce mu wydrzeć tego intratnego zajęcia.

1982

NIEPOKÓJ SUMIENIA

Ptak spadł na ziemię. Miał przetrącone skrzydło.
Dopadli go ludzie. Próbował dziobać i bronił się jednym skrzydłem.
Kiedy go zamęczyli, popatrzyli po sobie. Jeden winił drugiego.
Rozeszli się w milczeniu.

1982

LEGENDA

Nad glinianką rybacy od kilku pokoleń opowiadają o starym sumie, który chodzi w głębinie. Tylko nieliczni widzieli jego ogromny kształt w płytszej wodzie. Zdarzało się to podczas wielkich upałów. Zaraz ryba znikła.

Jak to dobrze, że pokazują się jeszcze takie sumy!

1982

Z NIEBA

Wysoko krąży jastrząb. Nieruchomieje na niebie.
I spada niby kamień. W obejściu krzyk kury. Jedno pisklę straciła ze swej gromadki.
Znów spokój. Wraca poczucie bezpieczeństwa.
Do następnego jastrzębia.

1982

ŚLAD

Przeglądali biurko zmarłego starca. Szukali pieniędzy, złota, cennych przedmiotów. Wśród stosu listów, dyplomów, wizytówek i weksli zabłąkał się płaski, wyszlifowany kamyk nadmorski. Może z jego pierwszych wakacji? Wyrzucili go do śmieci.

1982

PORTRET ARTYSTY Z CZASU DOJRZAŁOŚCI

Było szaro i padał deszcz. Warunki atmosferyczne też wpływają na samopoczucie pisarza. Deszcz padał trzeci dzień i wraz z jego monotonnym, gęstym szmerem na szybach maczek wyrazów i zdań, którymi pisarz pokrywał papier, poczał wydawać mu się zamazany, szary i wodnisty jak aura za oknem; chybiał sedna jego kreatywnych zamiarów. Mimo to siedział przy stole trwając uporczywie przy swej pracy. Rosły wątpliwości natury fundamentalnej. Utwór miał być w jego zamierzeniu demaskatorskim studium nędznego bytowania na tej płaskiej, smutnej nizinie środkowo-europejskiej, gdzie znajdowała się ojczyzna pisarza. Nizinie deptanej od wieków przez hordy najeźdźców, także przez klimat traktowanej po macoszemu. Doszedł bowiem do przekonania o dominacji mokrej, błotnistej jesieni podczas wszystkich czterech pór roku. Humory nieba znosił coraz gorzej i tak jak starcy powtarzał z goryczą utraczonej młodości – Dawniej lato to było lato, a zima to była zima.

Jakże przygnębiający widok rozpościerał się z jego okna! W deszczu przemykały schylone figurki pod parasolami. Ludzi moczyły bryzgi wody wzbijające się spod kół samochodów. Uskakiwali niezgrabnie i wygrażali pięściami. Na skrzyżowaniu ulic dwaj robotnicy odciągali pokrywę wjazdu kanalizacyjnego. Kilkadziesiąt lat temu owa studzienka była historycznym miejscem ewakuacji obrońców dzielnicy w czasie powstania przeciw najeźdźcom. Ospowata z powodu opadającego tynku ściana domu po przeciwnej stronie ulicy poznaczona została jakimś napisem. Napis dotyczył zapewne protestu. Tutaj ludzie często protestują. Pojedynczo lub masowymi zrywami. Protest z reguły bywa wymazywany starannie. Czasem jego ślad pozostaje, jak napis na tym murze. Odwrócił znużony wzrok od okna. Na powrót skupił się nad swoim zajęciem. Rzecz, nad którą pracował, miała być nie tylko opisem nędznego życia, ale również historią kiełkowania nadziei, próbą podźwignięcia się człowieka z klęsk i upodlenia. Długopis zatrzymał się w połowie kolejnego wyrazu. Słowa wypływały na powierzchnię jak zdechłe, rozdęte ryby. Szkoda było papieru. Poczł się bardzo zmęczony, stary i bezsilny. Niewątpliwie wiek miał tu wiele do powiedzenia. Sfatygowany organizm dawał znać o sobie rozmaitymi przypadłościami. Choćby tym bólem ukrytym głęboko w oczodołach i uciskiem w skroniach, świadczących o kłopotach z ciśnieniem. I jak to się zdarza podczas depresji, podejrzewał swój organizm o najgorsze schorzenie, gotowe lada chwila wybuchnąć zdradziecko.

Lecz najboleśniej było poczucie niemożności pisania. Ten stan można nazwać kryzysem twórczym, potrzebą przerwy pracy dla nabrania do niej dystansu. Rzecz wtedy dojrzewała w umyśle i wyobraźni. Toteż przerwa bywa owocna dla dalszych zmagani.

Pisarze często podróżują. Tutaj jednak realizacja takiego zamiaru wcale nie jest łatwym do wykonania przedsięwzięciem. Szczególnie podróż zagraniczna wymaga długich starań w odpowiednich urzędach. Ponadto stopień swobody zależy od uznania władz. Uznanie może otwierać bramy lub szczelnie je zamykać. Pisarz, o którym mowa, nie cieszył się należytych uznaniem i niedawno otrzymał odmowną decyzję na próbę wyjazdu za granicę.

Mógł pojechać w góry albo nad morze. Na granicy południowej znajdowały się góry, granica północna była morzem. Wiele już razy jeździł w góry i nad morze.

Popatrzył w czarne, nisko nawisłe niebo za oknem. Według prognozy meteorologicznej w całym kraju panowały złe warunki atmosferyczne.

Wyobraził sobie górzyste, rdzawe wysepki Morza Egejskiego. Góry i morze razem. Białe domostwa, złocisty piach, lazurowe niebo. Całość zalana olśniewającym słońcem. Wiedzę o tamtym pejzażu posiadał z kolorowych albumów i pocztówek.

Równocześnie ze zrozumiałą niechęcią przypomniał sobie przeczytany niedawno wywiad z włoskim pisarzem, Alberto Moravią, który poruszał się po świecie od równika do bieguna tak swobodnie, jak nasz pisarz autobusami i tramwajami po swoim mieście. Moravia zalecał wojaże jako konieczny relaks dla pisarza. Rozdrażniły go wyznania znakomitości!

– Palant! – powiedział ze złością.

Zaczął przechadzać się po pokoju, spojrzął na czarne pudełko telefonu. Telefonów też żadnych dotychczas nie było. Sygnał z zewnątrz potrafi wyrwać z przygnębiającego nastroju. Nie tylko telefon zresztą. Może być listonosz. Pojawia się z interesującą pocztą. Panowała głucha cisza. Jedyne słyhać było szmer deszczu na szybach. Napisano wiele wierszy o deszczu. Poeci dopatrywali się niegdyś w dżdżystej aurze sprzyjającej atmosfery dla subtelnej medytacji, refleksji, przypływu natchnienia.

Był odmiennego przekonania. Wypełniała go przygnębiająca jałowość myśli i smutek.

Poczuł głód. Zastanowił się nad sposobem spożycia posiłku. Perspektywa wyjścia z domu nie odpowiadała mu wcale. Gastronomia w jego mieście podupadła znacznie i względnie smaczny obiad mógł spożyć jedynie hotelowych restauracjach przeznaczonych dla cudzoziemców. Panowała tam drożyzna i sztuczny wykwent, szczególnie przykry w kontraście z barami i jadłodajniami masowej obsługi, dostępnymi dla tubylców. Obiad postanowił zjeść w domu.

Pisarze często bywają świetnymi kucharzami. Wykazują inwencję w przyrządzaniu smacznych i oryginalnych potraw. Nie miał do sztuki kulinarnej serca ani talentu. Mógł jedynie zaspokoić głód, korzystając z produktów gotowych. Zupę przygotowuje sobie z torebkowego koncentratu, na drugie danie zaś usmaży jajecznicę. Zabrał się do obierania ziemniaków. Zającie to przerwał na chwilę i jeszcze raz rzucił okiem nałogowca na ostatnią stronicę. Wyrażona mielizna, dosyć niezręcznie zakamuflowana pustymi słowami bez ciężaru.

Wrócił do zajęć kulinarnych. Ziemniaki zalał wrzącą wodą i posolił. Wpadł na pomysł urozmaicenia potrawy, która miała być drugim daniem. Nadal angażując wyobraźnię w tym zakresie, pomyślał o deserze. Zabrział dzwonek do drzwi. Przerwał tok skojarzeń kulinarnych. Była godzina 15.30 i zarazem pierwszy sygnał ze znieruchomiałego świata. Pospieszył do przedpokoju. Odsunął zasuwę. W drzwiach stali dwaj mężczyźni. Poczuł silny przypływ krwi do mózgu i serce zabiło szybkim rytmem.

Nie stracił jednak rezonu i zapytał spokojnym głosem – Czy mają panowie nakaz?

Jeden był tęgi. Drugi chudszy. Obaj funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa.

– Przybyliśmy w celu przeprowadzenia rozmowy ostrzegawczej – odpowiedział tęgi. Twarz miał stateczną, sinawo wygoloną, melancholijne spojrzenie ciemnych oczu.

Bywali tu już czterokrotnie. Bliższy pisarzowi był tęgi. Rok temu bez mała uczestniczył przy przewożeniu go do aresztu.

Należy w tym miejscu nadmienić, że w jego ojczyźnie utwory literackie są drukowane wyłącznie pod opieką cenzury. Ten stan rzeczy uległ zakłóceniu w ostatnich latach i coraz więcej pisarzy pragnie druku swych utworów bez żadnej ingerencji. On sam miał już pewne doświadczenie w tej pionierskiej materii. Za zbyt daleko posuniętą swobodę swych prac, ogłaszanych niezależnym drukiem, postawiony został w stan oskarżenia i uwięziony na kilka miesięcy.

Mimo to wizyta funkcjonariuszy stanowiła dla niego zaskoczenie. Pograżony w kleistej magmie dzisiejszego dnia ani razu nie pomyślał o takiej ewentualności. Ale nastąpiła mobilizacja wewnętrzna.

Powściągliwym gestem zaprosił funkcjonariuszy do mniejszego pokoju, który był sypialnią. W większym znajdowało się zbyt wiele książek z wydawnictw emigracyjnych i pod-

ziemnych. Na eksponowanym miejscu widniał tam egzemplarz jego książki przełożonej na węgierski i wydanej w tamtejszym samizdacie. Wrócił jeszcze do kuchni i wyłączył płomień gazu pod garnkiem z ziemniakami.

W małym pokoju funkcjonariusze leniwym wzrokiem wodzili po regałach, stole i półkach nad tapczanem.

– Przybyły nowe pozycje – stwierdził tęgi.

Ton jego wypowiedzi był lekki i wyraźnie zaznaczał odmienny charakter dzisiejszych odwiedzin. Wskazał palcem ozdobne wydanie *Folwarku zwierzęcego*.

– Można?

Wyciągnął książkę z półki. Przekartkował to albumowe wydanie z kolorowymi ilustracjami. Grafiki wybitnego malarza zwróciły jego szczególną uwagę.

– Dramatyczna kreska – pokiwał głową. – Bardzo sugestywne.

Chudszy spojrzął mu przez ramię. Zaraz obojętnie odwrócił głowę.

Czy tęgi naprawdę interesuje się sztuką? Niemożność odpowiedzi na to pytanie pobudziła jego imaginację. Może tęgi jest nawet czytelnikiem jego książek! Pisarze odczuwają potrzebę istnienia nieoczekiwanych admiratorów swojej twórczości. To podnosi na duchu i krzepi.

Tęgi odłożył *Folwark* na półkę. Zapamiętał bezbłędnie jego miejsce pośród innych książek. On zaś, zakładając nogę na nogę (starał się przybrać pozę naturalną, zgoła kawiarnianą), zapytał:

– Jakiej przyczynie zawdzięczam wizytę panów?

W dźwięk jego głosu z emocji wkradły się już gardłowe tony.

Rzecz całą przedstawił tęgi. Resort bezpieczeństwa ostrzegwał jego ustami. Przypomniał o fackie, że pisarz zwolniony został z więzienia na podstawie amnestii, która ma charakter warunkowy. W tym momencie uczynił krótką pauzę i biegle zacytował odpowiedni przepis ustawy. Następnie monotonnym głosem dorzucił o możliwości wznowienia postępowania. Mówiąc zapatrzył się w ścianę. Ścisłej, w olejny obrazek przedstawiający wyuzdane, zwiewne tancerki.

– Niezłe – bąknął.

Chudszy natychmiast podniósł głowę i wpatrzył się w to samo miejsce. Raczej nie odkrył, czego dotyczyła opinia kolegi. Chyba mniej interesował się sztuką.

– Więc co ma pan nam do powiedzenia? – zapytał tęgi.

– Nic – odparł i wzruszył ramionami.

Tęgi ponownie omiół spojrzeniem książki na półkach.

– Przybyło tego towaru – stwierdził. – Trzeba będzie zrobić przeszukanko – spieścił to fachowe słowo i w jego oczach pokazały się figlarne błyski.

Przesunął niedbałym ruchem dłoni po grzbiecie *Dziennika pisanego nocą*.

– Poprzednim razem pozwoliliśmy sobie zabrać to dzieło nie posiadające debitu u nas w kraju.

Chudszy wytknął oskarżycielskim palcem podziemny kwartalnik z podobizną zamordowanego księdza na okładce.

Tęgi podjął zaprzestany przed chwilą wątek ostrzegawczy.

– Nic się nie skończyło – rzekł. – Wszystko trwa nadal.

Mając naprzeciw siebie w tym małym, zagraconym pokoiku dwóch funkcjonariuszy, uporczywie starał się utrzymać w roli beznamiętnego słuchacza. Rola nie była łatwa. To noga, spoczywająca na kolanie drugiej nogi, jakby sama zaczęła podskakiwać. To dłonie stały się nadmiernie ruchliwe i spotniałe. Doznał poczucia tiku lewej powieki. Należało utrzymać w ryzach cały ten zespół odruchów łatwo wymykających się kontroli.

Pisarze bywają ludźmi obdarzonymi bujną wyobraźnią i ta właściwość często przeszkadza im w znoszeniu ciężaru realnych wydarzeń. Błahym faktom przydają nadmierną rolę. Też okazywał tę skłonność.

Na domiar złego zaczęły się niebezpieczne ruchy w żołądku. Skurcze i rozkurcze zwiastujące rozstrój. Zaniepokoił się możliwością katastrofy i siłą woli starał się opanować anarchię organizmu. Bo pomyśleć: nagle zrywa się, mówi – przepraszam, biegnie do łazienki. Upokarzająca sytuacja, już widział uśmieszki na twarzach tych dwóch.

Wyłącznie więc skoncentrowany na wysiłku utrzymania w ryzach organizmu, nie słyszał już wywodu tęgiego funkcjonariusza.

Czas upływał mu na walce ducha z ciałem. Potem zapanowała cisza.

– To tyle na razie – posłyszał po pauzie słowa tęgiego.

Wstał on z krzesła. Za nim chudszy. Z przedpokoju obaj rzucili bystre spojrzenia w głąb większego pokoju. Poszli sobie. Jeszcze chwilę stał przy drzwiach. Rejestrował oddalające się kroki.

W obecnych czasach zetknięcie się ze Służbą Bezpieczeństwa nie należy do zjawisk odosobnionych. Wielu ludzi różnego wieku i profesji podlega różnym formom tego kontaktu w postaci rewizji, wezwań, przesłuchań itp. Można założyć nawet, że w tej chwili pewna ilość obywateli opuszcza swoje mieszkania, prowadzona do aresztu.

Skonstatował tę ewentualność ze swoistą ulgą. Pozostawili go przecież w mieszkaniu. Ruchy żołądka ustały.

Popatrzył w okno. Deszcz padał nadal, jednak warstwa chmur na niebie wydała się cieńsza. Brudnoszara jak watolina z wybebeszonej jesionki.

Głodu już nie czuł i zrezygnował z obiadu. Nastawił adapter. Lubił grę na skrzypcach. Płyta była z nagraniem jednego z Ojstrachów. Muzyka pozwoliła mu skupić myśli. Tamta faza również zaczęła się od rozmowy ostrzegawczej. Tęgi był od początku. Wtedy pochylił się nad rękopisem jego opowiadania i rzekł:

– Do druku w podziemnym obiegu, prawda?

Nic nie zabrali. Miał kilka miesięcy spokoju. Jednak nie można opierać się na analogii. Ciągłe intencja wizyty pozostawała dla niego nieczytelna. Postanowił wyjść z domu w celu dokonania lustracji. Posiadał w tym względzie nieco doświadczenia i umiał rozróżnić ludzi przypadkowych od nieprzypadkowych. Ucisk w oczodołach zelżał znacznie. Dla kamuflażu zabrał ze sobą torbę na zakupy. Już na podwórzu uzyskał pewność. Byli. Na ławeczce dwóch i jeden przy śmietniku. Za węglem budynku dostrzegł osobowy samochód marki Polonez. W nim trzej mężczyźni. Dosyć ostentacyjnie spoglądali na niego. Przeszedł na drugą stronę ulicy. Za nim dwaj młodzieńcy z podwórkowej ławeczki. Krok w krok. Dotarł do przecznicy i w ostatnim momencie przed zmianą świateł przebiegł jezdnię. Też przebiegli. Biegł dalej. Popadł w rodzaj zabawy z dzieciństwa. Nazywała się – „policjanci i złodzieje”. Niewątpliwie był złodziejem. Milicjanci uparcie podążali za nim. Zreflektował się i zaprzestał bezsensownych prób zgubienia „ogona”.

Nurtowało go pytanie, w jakim celu prowadzą obserwację. Cel musi być. Tylko różnorodność celów, które stawia sobie tajna policja, bywa tak rozległa. Jego umysł niby kokon snuł ciąg przypuszczeń. Niektóre były naiwne, inne bardzo wyrafinowane.

Przechodząc obok kościoła, gdzie mieścił się komitet pomocy dla represjonowanych i więzionych, zatrzymał się i popatrzył z namysłem na stare, gotyckie mury. Należy w tym miejscu wyjaśnić, że kościół powodowany duchem miłosierdzia chrześcijańskiego występuje w obronie dotkniętych uciskiem. Dotąd czuł smak prasowanych śliwek, otrzymywanych w paczkach do więzienia z tego charytatywnego komitetu. Miał ochotę zająć tam i powiadomić o swoich kłopotach. Jednak zrezygnował. Wydało to mu się przedwczesne i nieestosowne.

Więc minął masyw świątyni i w sklepie z pieczywem nabył chleb, następnie nie oglądając się za obserwatorami, ruszył z powrotem do domu. Zobaczył Krystynę. Wychodziła z kawiarni. Była z jakimś mężczyzną. Troskliwie rozpinał nad nią parasol. Zamachała do niego dłonią. Uśmiechnął się. Opalona. Wyglądała bardzo ponętnie. Ze znacznym opóźnieniem

wykonał taki sam gest ręką jak ona. Przystanął i patrzył. Zgrabne, toczone łydki. Obciśnięte pośladki. Kołysanie bioder. Wszystkie wklęsłości i wypukłości odbijały się w jego oczach.

W szarości dzisiejszego dnia nasuwały skojarzenia z nagrzaną słońcem plażą, pełną leniwych, nagich ciał. Wyczekujących i otwartych. Obrazek godny wysp Morze Egejskiego. Przesunął dłonią po głowie. Włosy były mokre od deszczu. Ocknął się i ruszył dalej. Przed domem ten sam polonez z trzema mężczyznami w środku. Siedzieli w znudzonych pozach. Ich nudę warto zapamiętać. Musi być bezdenna. Tak wysiadywać lub wystawać godzinami. Mróz czy spiekota. Tkwić za tym drzewem, wpatrywać się w tamto okno. Szpicle to poważnie młodzi ludzie. Widział kiedyś oczy szpicla z bliska. Jałowe i cierpliwe. Bez śladu żywszych błysków.

Pisarze też często cierpią na nudę. Boleśnie odczuwają wtedy wysychanie źródeł twórczej imaginacji.

Jemu nuda pierzchła bez śladu. Czas nabrał tempa. Stał się ostry i porywisty. Szybko wspinał się po schodach. Zastanawiał się, co uczynić z cennymi książkami. Nie mógł przecież wykluczyć możliwości następnej wizyty i rewizji. Postanowił skorzystać właśnie z pralni jako kryjówki. Pralnia mieściła się na ostatnim piętrze i tak jak wszyscy lokatorzy miał klucz do jej drzwi. Książki zapakował w plastik. Paczkę ukrył pod pralką starszej pani z sąsiedniego mieszkania. Była to sympatyczna emerytka, często pożyczał jej książki z zakazanego obiegu. Wczoraj wyjechała do syna na wybrzeże.

Tak więc uczynił to i poczuł satysfakcję. Przynajmniej książki zostały zabezpieczone. Nastawił płytę z tym samym skrzypcowym koncertem Ojstracha. Tylko ciszej. Położył się na tapczanie i słuchał. Słuchał i rozmyślał. Wieczorem mieć będzie spotkanie autorskie ze studentami. Czy wizyta funkcjonariuszy nie posiada z tym związku. Tęgi powiedział dosłownie: – Łazi pan po kościołach i wygłasza przemówienia o treści antypaństwowej. – Poczuł niepokój. Odezwały się nieprzyjemne ruchy w żołądku. Organizm, ten upokarzający barometr zwierzęcego strachu i uległości, paraliżuje i ośmiesza niezależnie od umysłu i wolnej woli, która jest chlubą człowieka. Potraktował to spostrzeżenie jako temat do przyszłych rozważań. Bał się przede wszystkim powtórzenia poprzednich perypetii. Śledztwa, więzienia. Monotonnej i jałowej udręki tamtego czasu. Strach jednak mieszał się z pewną gotowością, nawet wyzwaniem. Był w tym posmak doświadczeń z dalekiej młodości. Jeszcze wyżej wspiąć się na to wysokie drzewo. Wyżej i wyżej, chociaż dalej już tylko suche, słabe gałęzie. Trzeszczą niebezpiecznie. Relaks trwał około godziny. Wstał i przygotował sobie lekki posiłek, złożony z chleba, sera, powideł i mocnej herbaty. Zaistniały jeszcze pewne problemy dotyczące stroju. Czy nałożyć flanelową koszulę, bluzę i welwetowe spodnie? Może marynarkę, popelinową koszulę i krawat? Drugi wariant wydał mu się stosowniejszy. Nigdy nie pozował na niedbale ubranego przedstawiciela cyganerii artystycznej. Jednak z doświadczeń pobytu w areszcie wyniósł przeświadczenie o praktycznych walorach luźnego, niedbałego stroju. Natomiast marynarka, w której tak niewygodnie spoczywać na twardej pryczy w piwnicznej celi, koszula wnet pogniecie się i pokryje smugami brudu.

Tym razem odrzucił przebiegłe przystosowanie i opowiedział się za dumną niezależnością. Wybrał marynarkę, niebieską koszulę w delikatne prążki i odpowiednio dopasowany krawat. Uczynił jedynie wyjątek dotyczący obuwia. Nie nałożył tych brązowych półbutów doskonale zharmonizowanych ze strojem. Były ciasne. Zdecydował się na adidas. Niewygodne obuwie potrafi stać się niewypowiedzianą torturą, deprymująco wpływającą na stan ducha. Wsunął do teczki maszynopis opowiadania, który dotąd miał ukryty pod dywanem, pięć paczek papierosów za zapas, szczoteczkę do zębów, pastę, witaminy.

Tak przygotowany ruszył na spotkanie autorskie. W roztargnieniu pokiwał głową spotkanemu na schodach panu S., społecznikowi z drugiego piętra, który zapytał go, czy przyłącza się do petycji lokatorów w sprawie likwidacji plagi mrówek faraona. Stworzenia te zaczęły ostatnio pojawiać się hordami w całym bloku.

– Czyli zgłasza pan akces! – wołał za nim pan S.

Po drodze nikt mu nie towarzyszył. Choć mogły to być pozory. Inwigilacja posiada różne formy. Bywa wyzywająca lub niezauważalna. Wyzywająca posiada zapewne sens psychologiczny. Paraliżuje delikwenta. Niezauważalna zaś prowadzi do sedna jego nieczystych zamiarów.

Deszcz przestał padać i niebo było niebieskie. Mimo wieczorowej pory panowało jeszcze światło dnia. Dni zaliczały się do najdłuższych w roku. Na ulice wylegli ludzie. Zawsze tak bywa, kiedy po deszczowych godzinach nastaje pogoda. Był jednym z wielu przechodniów. A jednak innym... Jego spacer może ulec nagłemu zakłóceniu. Jego wieczór i noc mogą być nieprzewidziane. Emocja tych niespodzianek nie była owocem jego imaginacji. Wynikała z realnych przesłanek.

Przechodząc obok pomnika XIX-wiecznego pisarza, popatrzył na niego z zadumą. Kamienna głowa posągu posiwała od ptasiego łajna. Był jak tamten pisarz związany z tym miastem. Roić mu się zaczęły pełne pychy obrazy. Dotyczyły własnej osoby i dzieła. Słabość w pełni zrozumiała w jego wieku. Miał bowiem pięćdziesiąt lat i myśl o uznaniu, jakim obdarzają go rodacy, nie była mu obca.

Z tej próznej zadumy wyrwali go organizatorzy spotkania, sympatyczni studenci wydziału prawa. Pierzchły marzenia i rzeczowo uprzedził ich o swych obawach co do dalszego ciągu wieczoru. Na wszelki wypadek podał numery telefonów siostry i kolegi pisarza, który mieszkał w pobliżu.

Krótką drogę do bramy uczelni przebyli bez przeszkód. Punktualnie przystąpił do czytania swego utworu przed dość licznym audytorium, zgromadzonym w auli wykładowej. Początkowo czytanie szło mu opornie. Głos nie miał odpowiedniej barwy, a myśl błądziła gdzie indziej. Opowiadanie było próbą portretu funkcjonariusza MSW. Pisząc korzystał z doświadczeń własnych i cudzych. W trakcie czytania co pewien czas przesuwiał przenikliwym wzrokiem po twarzach słuchaczy. Zastanawiał się, który z nich może być szpiclem. Kilka twarzy wydało mu się podejrzanych. Stereotyp nakazuje szukać jakiegoś szczególnie odpychającego oblicza, rozbieganych oczu itp. Tymczasem może to być ten zasluchany młodzieniec o bladej twarzy okolonej nikłym zarostem. Lub ta długowłosa dziewczyna, co podpira głowę łokciami i chłonie słowa jego utworu niby wodę ze źródlanej krynicy.

Zaprzątnięty tym nieskutecznym sondażem pomylił stronice. Przeprosił publiczność, uporządkował kartki i pilnie skupiwszy się na tym, co ma czytać, nie unosił już głowy znad pulpitu. Sam zasluchał się w kadencję znanych do znudzenia zdań i był z nich zadowolony. W kontekście dzisiejszych odwiedzin rzecz nabrała szczególnej wymowy. Poczul się wolny w granicach swego obszaru. Czy żywił nienawiść do ludzi z tajnej policji? Raczej oswajał się z nimi. Ze specyfiką ich intencji i działań. Wcielał te postaci na równi z innymi do teatrzyku swojej literatury. Zapewne wolni pisarze z innego świata współczują takim jak on kolegom po piórze, nieszczęśnikom uwikłanym w konflikty z przemocą. Widzą w tym redukcję prawdziwej sztuki. Szlachetne, lecz doraźne cele. Oni natomiast zmagają się z uniwersum. Demiurgowie kreacji wyzwolonej z pęt dosłowności. Metafizyki i galaktyki. Ontologia i eschatologia. A niech tam! Ten wykrzyknik był oczywistą demagogią, ale chciał przez to powiedzieć sobie, że to, o czym pisze, jest równie ważne. Jest jego mikrokosmosem.

Dobitnie i sugestywnie wyakcentował końcową scenę opowiadania.

Rozległy się oklaski. Miał doświadczenie ze spotkań z czytelnikami i potrafił odróżnić uznanie zdawkowe od prawdziwego. To było raczej prawdziwe.

W dyskusji starał się być uważny i czujny. Wypowiadał się skąpo. Myślał o taśmie magnetofonowej. Oni potrafią kleić i montować taśmy. Tak spreparowane mogą służyć w postępowaniu śledczym. Więc poruszał się wśród słów jak ostrożny lis i nim ułożył z nich wypowiedź, opukiwał jej sens starannie. Studenci zresztą bardziej dopytywali go o opinię na temat ulubionych pisarzy, formę i konstrukcję utworów niż o sądy ogólne. Odpowiadał dosyć płyt-

ko, banalnie (myśl zaprzątnięta czymś innym: na przykład w pewnej chwili, czy dozorczyńni nie zechce sprzątać dziś w pralni, znajdzie książki, ona niepewna, co wtedy!) i dłuższą pauzę po kolejnej swojej odpowiedzi potraktował jako pretekst do zakończenia dyskusji. Podziękował i opuścił podium.

Dwaj ci sami studenci organizatorzy postanowili odprowadzić go do domu.

– Gdyby pana zechcieli zatrzymać, będziemy pierwszymi świadkami – oświadczył jeden z nich o osobliwym nazwisku Pogłód.

W drodze powrotnej natarczywie zaczęła go nurtować pewna wątpliwość. Była dalszym ciągiem polemiki z pisarzami wolnego świata. Może naprawdę jego twórczość przez te różnorakie uwikłania stała się płaska, przyziemna, pozbawiona szerokiego oddechu. Może należy otrząsnąć się z zależności i patrząc z olimpijską pobłażliwością starać się wyłuskać z mierzwy terażniejszości wartości ponadczasowe, uniwersalne. Czy ci kumple – pisarze z wolnego świata – nie mają racji?

– Nie! – powiedział gniewnie.

– Słucham? – zapytał Pogłód.

Zmieształ się i wybąkał coś niezrozumiale. Szli milcząc. Pusto i cicho. Z rzadka zamajaczyła ludzka sylwetka, rozległy się kroki.

Pogłód rozglądał się nieustannie.

– O, tam ktoś! – szepnął wskazując przechodnia wynurzającego się z bramy.

Nic się jednak nie zdarzyło. Zatrzymali się przed domem. Pogłód obejrzał się ostatni raz i westchnął. Nikogo nie było w pobliżu.

Mocno uściśnął prawice chłopców. Podziękował za udany wieczór i troskliwą opiekę w drodze powrotnej.

Na klatce schodowej od razu zapalił światło. Nasłuchał się o przykrych wydarzeniach w ciemnych miejscach. Na przedostatnim podejściu przystanął dla uregulowania oddechu i wtedy dopadło go najsilniejsze zwątpienie. Czy mimo wszystko nie jest niewolnikiem? Niewolnikiem wpędzonym coraz przez czujnych nadzorców do swojej psiej budy. Wydał się sobie osobą przegraną, zdolną tylko do gry na bardzo małej skali. A cała ta jego dumna wolność jest tylko żalonym pozorem. Skowyt i ujadanie. Nic więcej. Przeszyło to zwątpienie jak najsilniejsza trucizna. Otwierały się za nim bezdenne czeluście. Jeszcze głębiej posunąć się tym tropem i wszystko zawali się w ruinę. Także jego pisanie. Zaciekle stłamsił tę ledwo napoczętą myśl. Dała się przydusić.

Przeskakując po trzy stopnie ruszył na górę. Z impetem wpadł do mieszkania. Zrzucając marynarkę i rozplątując pętlę krawata na szyi stwierdził, iż dzień upłynął jak mgnienie. Miał poczucie intensywnie spędzonego czasu. Co prawda, był to dzień ściganego. Ale uskrzydłony. Pegaz rozmaite przybiera postaci. Popatrzył z nagłym zainteresowaniem na zabazgrane kartki papieru. Czarny znaczek liter zaczął kusić magią spełnienia. Poczul wiarę w rezultat. Z tą optymistyczną nadzieją wziął zimny i gorący prysznic, odświeżył ciało. Pod orzeźwiająjącym strumieniem wody pozwolił sobie na rozmowę z Morawią.

– Takie jest moje życie, panie Albercie – powiedział. – Wydarzenia same pukają do drzwi. – I jeszcze coś pobłażliwie tłumaczył pisarzowi z innego świata.

Przygotował sobie tapczan i wsunął się pod kołdrę. W tym momencie przypomniała mu się Krystyna, kobieta spotkana przypadkiem na ulicy. Opalona i sprężysta. Kragłe, smukłe uda widoczne w rozcięciu spódniczki. Ten widok obiecywał tyle innych uroków ukrytych pod odzieżą. Oczy miała błyszczące, pełne obietnic. Rozchylone, wilgotne usta. Patrzyła na niego pobłażliwie i miękko. Ogarnęła go męska chęć. Rosnąca i wszechogarniająca.

– To niebywałe! – tak musiał powiedzieć.

Była to wizja rozkoszy porywająca i świeża jak za dawnych młodszych lat. Tych lat, kiedy żarliwie wyczekiwał na spotkania z pewną dziewczyną. Spotykali się na starych fortach i to, co sobie teraz wyobrażał, przypominało tamte zamierzchłe czasy.

Zapalił papierosa. Telefon Krystyny musi być zapisany w jakimś notesie. Taki dzień! Poczł w sobie niezwykłą potencję. Legendarną siłę Rasputina wprost. Potencję i rozpasaną lubieżność. Już slyszal czule zawodzenie Krystyny. Jej pieśń satysfakcji z jego możliwości.

Co za dzień! Dla pewnego, bardzo sławnego pisarza amerykańskiego, połączenie weny męskiej z twórczą stanowiło pełnię egzystencji na tym padole łez i cierpień. Jak o tę łaskę zabiegał podróżując, polując na lwy i podniecając się krwawymi widokami corridy.

A jemu ogniem na zmysłach grała ta Krystyna. Wszystko miał, niczego nie potrzebował szukać. Poczł swoją przewagę. No, dosyć! Trzeba spać. Najlepiej liczyć barany. Któryś będzie w końcu progiem snu. A jeżeli nie, to pomyśleć o sztuce wolnej i zniewolonej. Dalej rozważać ten tragiczny dylemat. Jednak zamiast tak uczynić, wstał nagle i zaczął szukać w szufladzie biurka, pełnej rozmaitych szpargałów, notesu z jej telefonem. Musi tam być.

1986

ŻYCIE HORDY

Sztukę zbójckiego rzemiosła posiadli niebywałą. W pełnym konia pędzie potrafili z ziemi porwać dziecko. Pochyliwszy się nisko w siodle, chwyтали zdobycz jedną rękę za kark jak szczeniaka. Druga zaś, w szablę uzbrojona, równocześnie śmierć mogła zadać. Ścinali głowę ojcu lub matce upatrzonemu brańca. Drapieżnym swym okiem dojrzawszy złoty łańcuch na piersi ofiary lub pierścienie zdobiące jej palce, spinali konia nad trupem i zrywali kosztowności. Cieszył ich okrutne oczy widok złota i szlachetnych kamieni.

W czasach nowszych chronometry największe budziły u hordy pożądanie. – „Czasy! – mówili miękko. – Czasy!”

I tak horda spustoszywszy ziemię sąsiadów brankę swą wiodła w głąb imperium rozległego, gdzie kopulaste pałace wznoszą się na polanach wśród lasów niezmiernych. Tutaj brańcy mieli życie na obraz i podobieństwo hordy zaczynać. Starsi coś z widoków swej ojczyzny w niewolę zabierali. Wspomnienie matki lub ojca, mowy rodzinnej strzępy, znak krzyża od maleńkości wpajany. Pamięć taką wypalała w nich horda i tylko jej mową porozumiewać się mogli. Najczęściej czeladź hordy oni stanowili. Końskim potem, gorzałką i krwią przesiąknięci, odziani w baranie skóry kudłami na wierzch, życie pędzili zwierzęce, knutem często gęsto smagani, okrutni wobec słabszych i pokorni przy silniejszych. Pragnieniem ich największym stawało się uzyskanie krzywej szabli, co oznaczało według praw tamtejszych pasowanie na wojownika. „Drug” lub „tawariszcz” wszyscy wtedy zaczynali do nich mówić i całowali ich w usta. Najgorliwszymi z gorliwych oni bywali. Może tylko z rzadka na popasach, kiedy horda zachłannie na zachód spoglądała, rzewne swe pieśni przy ogniskach śpiewając i w oczach mając całe bogactwo tamtej zachodniej strony, oni, ci z wolnej ziemi porwani w dzieciństwie, popadali w smutek jakiś i zamyślenie. Być może mgliste kontury straconego życia majaczały im przed oczyma. Głos ojca czy matki dźwięczał w uszach. Kto to wie? Niedługo posępna tęsknota ich trzymała. Wnet pić zaczynali blaszanymi kwartami popołu z innymi. Już biorą się za czuby i walczą zajadle z byle powodu złorzecząc wymyślnymi przekleństwami, które są ozdobą tamtejszej mowy.

Nie wszystkim niewolnikom hordy los tak zaszczytny został przeznaczony. Większość do posług najniższych przypisana została. Katorżnicze bytowanie zamieniło ich w bydłeta, których jedynym pragnieniem był pełny brzuch i sen w ciepłe do syta. Bywali wśród brańców i tacy, co wolą ucieczki żyli przez lat dziesiątki. W okienkach twierdz i kazamatów wystawali przeklinając wraży widok. Marzyli o ojczyźnie dalekiej. Niektórzy piłowali grube kraty. Przechwyceni na próbie ucieczki, wtrąceni zostawali do ciemnic i tam, przykuci łańcuchami, ślepnąc, swego męczeńskiego życia dożywali. Mało komu z ziem hordy zbiec się udawało. Śmiałkowie tacy niezwykle przymiotami ducha i ciała musieli być obdarzeni.

Dla sprawiedliwości należy powiedzieć, że swoim horda nie o wiele lepszy los zgotowała. Zawsze był u niej motłoch, czyli czerń, i wybrańcy, którzy grzbiet tej czerni srodze garbowali. Lud tamtejszy do takiego życia nieludzkiego od pokoleń jest zaprawiony i dolę swą z całą pokorą i bez szemrania znosi.

W czasach nowszych, kiedy ziemie podbite przez hordę zajmowały ogromne obszary, branki już zaprzestano i naród zniewolony na miejscu pozostawał. Przydawano mu nadzorców i oni jego duszę na całkowity pożytek hordy kształtowali. Potrzebę wolności ogniem i

mieczem wypalano. Ślady dawnej świetności do cna niszczone i najchętniej pałace swe kopalaste na ziemiach przyłączonych horda wznosiła. Złotem i czerwienią one były zdobne. Kolor złoty od dawien dawna był symbolem barbarzyńskiego przepychu, którym horda lubiła się otaczać. Czerwień natomiast krew oznaczała. Mocno były wzięte w dyby zniewolone ludy i tylko widokiem pól i lasów ojczystych zmęczone oczy ludzie sobie krzepili. Nic im więcej pozostawione nie zostało. Poddanymi na wieczysty czas w zachłannych rejestrach hordy wpisani zostali.

Boga nade wszystko w duszach swoich rabów horda trzebiła. Nienawidzi ona wszelkich jego znaków na ziemi. Świątynie burzy, a kapłanów na północy kres swego imperium zsyła. Bóg przecież obdarza ludzi wiarą i nadzieją. Dlatego krążą wśród ludów podbitych hordy tajni wysłannicy i bożą obecność zawzięcie tropią. Rąbią krzyże szablami albo na szubienice zamieniają. Lud patrzy na te bluźniercze praktyki i milczy. Spoglądają w oczy ludu tajni wężyciele. Czystego blasku nadziei w nim poszukują.

W taki oto sposób horda nad podbitymi narodami władztwo swe sprawuje.

Najchętniej posyła tam swoich namiestników, wyrosłych z tych najmłodszych brańców, niegdyś w niewolę porwanych. Oni to, ci hordy janczarzy, swoich z krwi i urodzenia braci gnębią i ręka bezlitosna nigdy im nie zdrży. Złudzeniem jest przeto mniemanie, że tkwi w nich głęboko schowana miłość dawnej ojczyzny i jedynie chwili sposobnej do pomsty czekają. Pewna jest horda swych namiestników. „Mać radnaja” – tak samo jak wszyscy oni mówią i oczy im rzewną mgłą zachodzą. Jawi się im ta ojczyzna – mateczka jako maciora pełna mleka, słodka i obezwładniająca, ale zarazem męską siłą obdarzona i okrucieństwem, co potrafi karać swe dzieci bez litości. „Mać” – powtarzają. „Bładź” – szepczą równocześnie.

Ta dwoistość uczuć hordę we wszystkim cechuje i od miłości do nienawiści u nich jeden krok.

Czas biegnie niby rzeka bezkresna i horda tą rzeką płynąc z różnymi przeciwnościami musi się zmagać. Wszak rzeki czasem wysychają, a czasem znów wylewają, zatapiając wielkie połacie żyznej ziemi. Tak samo lud podbity latami może być pokorny i cichy, żeby z nagłą zacząć się burzyć i pożogi buntów wzniecać.

Również pośród hordy rozmaite prądy i pragnienia się rodzą. Już dawniej tak się zdarzyło, że całe gromady z taborem swoje sioła opuszczały i gdzieś na dalekie rubieże imperium ludzie wędrowali, często z głodu czy braku wody ginęli po drodze, marzenia o innym życiu do grobu zabierając.

A w czasach ostatnich niektórzy z hordy w podbojach zaznawszy smaku życia bogatego w wino i małżazę, stają się na złe wpływy podatni. Rozterki trudne wyłażą im na oblicza dotąd jak z kamienia wykute. Pragną pogрузić się w sytym lenistwie. Kuszą ich rozkosze. Chciwe pragnienie budzi świat przedmiotów zbytkownych i wyrafinowanych. Wygasa w nich wtedy wola walki nieustającej i ucha na rozmaite podszepty skwapliwie nadstawiają.

Zachodnia ta strona, której podbojem od wieków horda się trudni, wydziela trucizny jakieś, miazmaty i czady. W głowach słabszych one mącą i usta niektóre nocami pośród snu głębokiego szepczą bluźniercze herezje o lepszym życiu. Tak samo gorzałką opici w melancholię popadają i o tym innym życiu bredzą. Powiadają, że bez knuta ono i bez przelewu krwi w ciągłych wojnach.

Macki hordy są jednak wszędzie i co jeden drugiemu powie, już o świecie jest wiadome. Nawet brat wydaje brata i od wieków ten obowiązek ludzie mają wpajany. Każda rozterka zdradą podszyta wyłazi zawsze jak gad wyciągnięty spod kamienia. Zatrute obcym jadem języki wyrwane są bez litości, a oczy mirażem wrażym zmacone także wylupuje się od razu. Ślepi i niemi często przy życiu pozostają i snują się niby widma. Żywym przykładem są dla innych, którzy ośmielają się w potęgę hordy wątpić.

Mimo to jednak w różnych miejscach imperium pojawiają się z nagłą jacyś prorocy. Zmierch starego świata ze znaków na niebie i ziemi przepowiadają. Lud tymi wróżbami stra-

szą zapowiadając nawet powrót Boga. Słońce tak krwawo ostatnio wschodzi. Łzy pokazują się w oczach męczenników na starodawnych obrazach. Tak breszą i breszą. Wzniesają ducha buntu. Wzrok tych gadów przeklętych pioruny ciska i żadnych tortur się nie boją.

Oto z okien warowni zwanej Kremlinem oczy ostatniego gosudara zwabił widok dokonywanej egzekucji. Lecz widok ten miał być odstrasżającym przykładem, niósł w sobie wszelkie znamiona nawoływania do buntowniczych knowań. Wstępujący na szafot skazaniec obnażony był i posiekany razami kańczuga, stopy obute miał w żelazne buty tortur, a piersi poznaczone krwawymi jamami od haków, na których wisiał w katowni przed egzekucją. Skruchy jednak żadnej nie wykazał i szedł dumnym krokiem po skrzypiących schodach na szafot. Głowę trzymał wysoko uniesioną i z jego oczu promieniowała niezłomna wiara. Lud, spędzony z okazji egzekucji, spoglądał na niego z podziwem i niejednen z wątpiących mógł umysł swój i serce zbrodniczym pragnieniem buntu zarazić.

– Swołocz! – powiedział z wściekłością stary gosudar i otulił się szczelniej w futrzane szuby.

Bezruch hordy zgubą. Gnije w beczynności siła. Czas jak woda kruszy nawet lite skały. Poruszyć trzeba to zastale mrowie. Wprawić w ruch waleczne zagony. Niechaj znów pokosem krwawym zbiera swój plon kostucha. Runie horda na bogate ziemie zachodniej strony. Stamtąd przecież trucizny rozliczne się roznoszą. Stamtąd także Bóg ze swoim znakiem krzyża się wywodzi. Charkot konających, zawodzenie matek i dzieci, wycie psów na pogorzeli-skach wypełnią uszy bojców lubą muzyką. Krwia się ochłepczą, juki wypełnią i jak robactwo pozbawione bezbronnego we śnie ciała zdechnie w ich duszach wszelka wątpliwość, sprzeciw czy podła myśl o buncie.

Podeptać więc zachodnią ziemię wrażą i pędzić, pędzić aż do kresu ziemskich możliwości.

1982